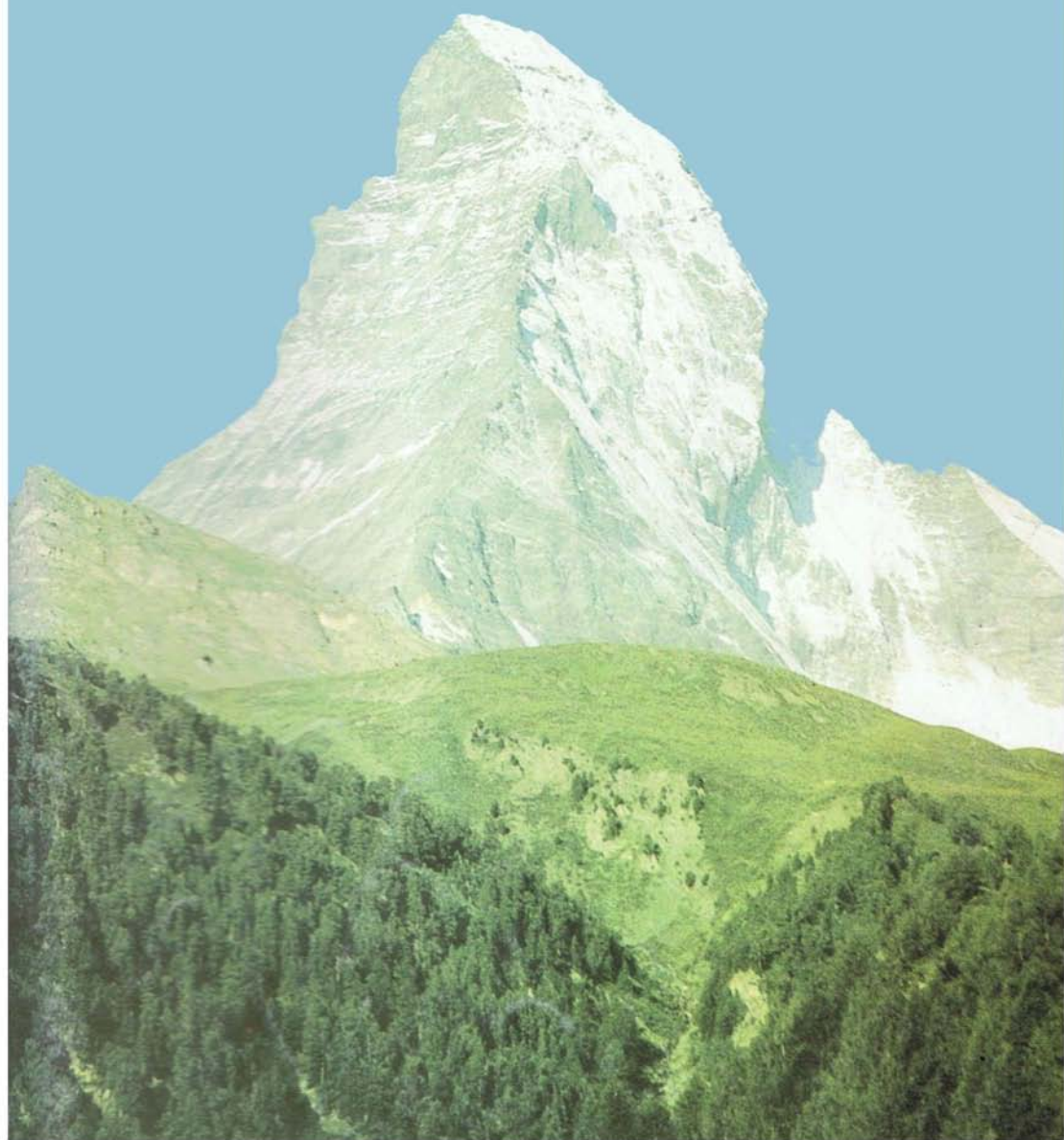


# TATERNIK

1  
1995





## Spis treści

Bumerang .....	1
Alpinizm dla ubogich .....	2
Lista czterotysięczników w Alpach ..	5
Maroko Climbing Trophy .....	7
Zima w MarOKU .....	9
„Turyści ze Zakopanego” .....	11
Wiosna w Lavanoise .....	12
VII Memoriał Jana Strzeleckiego ...	13
ENSA 1994 .....	14
Verdon .....	16
Jaskinie Pierre Saint Martin .....	17
Stanowisko w sprawie stanowiska ...	18
Zachodnia alternatywa .....	24
Działalność jaskiniowa 1993-1994 ...	26
Speleocorrída '94 .....	29
Polemiki .....	31
Sport wspinaczkowy .....	34
Co nowego w Tatrach .....	36
Pożegnania .....	38
Jaskinie i speleologia .....	40
Więści z gór .....	44
Więści organizacyjne .....	47

Zdjęcie na okładce: Matterhorn,  
fot. Maciek Kornacki

Zdjęcie obok zostało nagrodzone w naszym konkursie fotograficznym ogłoszonym w poprzednim numerze „Taternika”. Przedstawia grań szczytową Castora, jego autorką jest Elżbieta Mika z Katowic.

# Bumerang

Jak łatwo zauważyć większość zjawisk na tym świecie ma charakter cykliczny. Podkreślam, że chodzi o „ten” świat, a nie o „tamten”, bo o tamtym ciągle mało wiadomo. Z rzeczy znanych wiemy, że po hossie musi być bessa, że broda rośnie w nocy, a goli się ją z rana (w Australii jest odwrotnie) oraz, że plamy na Słońcu aktywizują się co 11 lat. Obecnie problemem badawczym numer jeden wydaje się być ustalenie cyklu znoszenia i ustanawiania stopni taternickich w Polskim Związku Alpinizmu. Jest to zjawisko na tyle interesujące, że warto poświęcić mu niniejszy felietonik. Natomiast fakt, że tekst publicystyczny trafia na pierwszą stronę zamiast „wstępniaka” może oznaczać tylko wyjątkową ważność tego tematu.

Jeśli pominąć nastolatków i kolegów którym dokuczają już skleroza, to wszyscy pamiętamy jakieś stopnie taternickie. W latach pięćdziesiątych słynąca była lista sklasyfikowanych taterników i alpinistów z podziałem na klasy, gdzie klasa pierwsza była najwyższą, a trzecia najniższą.

Kiedy wstępowałem do Klubu Wysokogórskiego w roku Pańskim 1970 istniały już od pewnego czasu 3 stopnie taternickie. Karierę zaczynało się od stopnia członek-sympatyk, później zostawało się członkiem uczestnikiem, a karierę wieńczył wielce zaszczytny tytuł członka zwyczajnego Klubu Wysokogórskiego. Sympatykiem zostawało się wówczas na „dzień dobry”, uczestnikiem tuż po kursie i kilku samodzielnych wspinaczkach, natomiast na zwyczajnego trzeba było się już solidnie napracować. Regulamin wymagał kilku sezonów latem i zimą, wspinaczek łatwych i trudnych, tzw. dróg klubowych itd. W każdym razie byłem bardzo dumny z siebie jak ten stopień uzyskałem. Egzaminowali mnie moi koledzy klubowi: Tadeusz Bartzak i Andrzej Wilczkowski.

Przekształcenie Klubu Wysokogórskiego w Polski Związek Alpinizmu zaowocowało między innymi zmianą stopni członkowskich na stopnie sportowe. Po kursie tatrzańskim nadawano stopień taternik-kandydat, którego właściciel po pokonaniu dróg wspinaczkowych o łącznym czasie 100 godzin przepoczwarzał się w taternika samodzielnego, aby po kursie zimowym uzyskać jeszcze dodatkowy cenzus o nazwie „z uprawieniami zimowymi”. Szczytem kariery sportowej, a i szczytem elegancji także, był stopień taternika zwyczajnego. Przepisy wymagały ukończenia 21 lat, uprawiania alpinizmu przez 3 sezony letnie i 3 sezony zimowe, przejścia ponad 200 godzin wspinaczkowych, znajomości masywów górskich poza Tatrami (także lodowcowych) oraz zdania wcale trudnego

egzaminu przed Środowiskową Komisją Egzaminacyjną. Jeden z moich przyjaciół zdawał egzamin poprawkowy tylko dlatego, że nie znał imienia drugiego z braci Dimai...

Pochodzące z roku 1985 i formalnie rzecz biorąc jeszcze obowiązujące przepisy Zarządzenia Przewodniczącego GKKFIS precyzowały zakres uprawnień dla poszczególnych stopni taternickich rozstrzygając co komu, z kim i kiedy wolno oraz dlaczego. Do dziś bawi mnie punkt 3 paragrafu 3. stwierdzający, że „w razie prowadzenia działalności indywidualnej, za jej bezpieczne i zgodne z przepisami przygotowanie oraz przebieg odpowiedzialna jest osoba mająca najwyższy stopień alpinistyczny w zespole, a w wypadku równych stopni - najdłuższy staż”. Przypomina mi się natychmiast sławne prawo Gilba, które stwierdza, że „każdy system oparty na ludzkiej niezawodności jest bardzo zawodny”.

Na fali odnowy w październiku 1989 roku Walny Zjazd Delegatów postanowił znieść stopnie taternickie. Przeważały argumenty za wolnością w wolnym kraju, nie stroniono też od wykazania sowieckich proweniencji systemu stopni sportowych. Mało kto pamiętał, że członkostwo zwyczajne KW ma rodowód jak najbardziej sanacyjny i przedwojenny, że na przykład w żeglarskim, a więc w sporcie podobnie jak i taternictwo uprawianym w przestrzeni nikogo jakoś nie bulwersują klasy i stopnie i związany z nimi zakres uprawnień.

Raptem w trzy lata później na Walnym Zjeździe Delegatów pojawiły się i to wcale nie tak odosobnione głosy wnioskujące przywrócenie starych stopni sportowych. Krótko mówiąc, wychodziło na to, że zniesienie stopni przyniosło więcej szkody niż pożytku oraz (o ironio), że przybywa w klubach zwolenników „starych, sprawdzonych rozwiązań”. Wiele wskazuje na to, że na tegorocznym zjeździe sprawa stopni powróci jako temat debaty plenarnej i kto wie czym to się skończy...

Rzeczywiście nie sposób nie zauważyć pewnych aspektów psychologicznych i socjologicznych. System stopni zakładał i egzekwował pewną hierarchiczność oraz stwarzał czytelną (mniejsza o to ile warta) drogę awansu środowiskowego. Zaspokajał tym samym ważną potrzebę (urzędowego w pewnym sensie) potwierdzenia osiągnięcia wyższych kręgów wtajemniczenia. Obecnie jedynym stopniem wyróżniającym spośród ogółu wspinaczy jest stopień instruktorski. A co robić do tego czasu, czym się cieszyć i do czego dążyć? Można wprawdzie się wspiąć po trudnościach sześciopięć czternaście c plus, ale to przecież nie wszystko o co w życiu chodzi... Zapraszam do przedzjazdowej dyskusji.

Dziekan



Maciek Kornacki  
Paweł Lammel



# ALPINIZM DLA UBOGICH

**Jeżeli, drogi czytelniku, nigdy nie byłeś w Alpach, a wyjazd taki planujesz - poniższy tekst jest właśnie dla Ciebie.**

**Ponadto, drogi czytelniku, jeżeli należysz do grupy osób, które uważają, że w Alpy, owszem, wyjechać byłoby warto, ale o wiele za droga to impreza, to tekst ten jest zwłaszcza dla Ciebie.**

Z kraju wyjechaliśmy w lipcu 1994 roku autokarem firmy Chrobot-Reisen. Była najtańsza. Bilet w obie strony kosztował każdego z nas dwa miliony. Linia łączy Warszawę z Genewą, dalszą drogę do Chamonix przejechaliśmy stopem, zrobiwszy sobie uprzednio krótki postój miastoznaczczy. Dwa dni na ten cel w zupełności wystarczy. Wbrew powszechnym opiniom nie mieliśmy praktycznie żadnych kłopotów z poruszaniem się stopem, a jeździliśmy nim podczas wyjazdu dość często. Przejazd z Genewy do Chamonix (około 90 kilometrów) wraz z przekroczeniem granicy zajął nam cztery godziny.

Hoteli i campingów w Chamonix nie brakuje. Tych pierwszych, jako miejsca zakwaterowania, oczywiście pod uwagę nie braliśmy. Samych campingów jest ponad dwadzieścia. Ceny kształtują się bardzo różnie, najtańsze miejsca można dostać już od 20 Ffr. Warto zwracać uwagę na kilka szczegółów, np. czy w cenie jest ciepła woda. Oczywiście, tych tańszych campingów nie należy szukać w centrum Chamonix, ale w Les Praz, Les Pelerines czy Taconnaz. Godny polecenia jest zwłaszcza Grand Camp w okolicy Taconnaz. Tani, zapewniający minimum prywatności, a właścicielką jest osoba mająca wyraźny sentyment do Polaków, objawiający się nie tylko w słowach. Camping położony jest około 45 minut drogi od centrum Chamonix.

Osobną, niebagatelną sprawą (jeżeli chcemy zmniejszać koszty) jest zabranie odpowiedniej żywności z Polski. Gdy podróżuje się samochodem rzecz jest w miarę prosta. Nam jednak udało się wziąć ze sobą niemal całe zaopatrzenie na miesięczny pobyt w plecaki. Na miejscu zaopatrywaaliśmy się jedynie w podstawowy nabiał i pieczywo. Kluczową decyzją była rezygnacja z puszek. Są za ciężkie i zajmują za wiele miejsca. Podstawą naszego wyżywienia stała się suszona soja,

którą można przyrządzać podobnie jak mięso. Nie wolno zapomnieć o mieszkankach warzywnych (też suszonych) i węglowodanach (niekoniecznie suszonych). Na nas dość okrutnie zemściło się zlekceważenie tych ostatnich. Soja i warzywa dostarczały wprawdzie niezbędnych białek i witamin, ale i tak chodziliśmy wiecznie przygłodzeni. Niedobór cukrów i tłuszczów można oczywiście bez problemów uzupełniać na miejscu, ale to kosztuje. Tanie natomiast są wyroby mleczne - jogurty, kremy, śmietana, sery homogenizowane itd. One stanowiły główny dodatek do pieczywa. A kupować należy w największym w mieście sklepie spożywczym - jest o 20% taniej.

W Alpach „obowiązują” dwie szkoły poruszania się po górach. Pierwsza zakłada, że masz sporo pieniędzy, niewiele natomiast pojęcia o turystyce wysokogórskiej. Co więc robisz? Wynajmujesz przewodnika. Od tej chwili on przejmuje całą odpowiedzialność za wybór drogi, dnia, żywności, sprzętu itd. Na tobie pozostaje jedynie odpowiedzialność finansowa. Szkoła druga nic nie zakłada. Chodzisz jak chcesz i gdzie chcesz odpowiadając sam za siebie. Obie są dość licznie reprezentowane, pierwsza przez westmanów, druga - eastmanów.

## Mont Blanc

Na szczyt od strony francuskiej wiodą trzy turystyczne trasy: przez Mont Blanc du Tacul, lodowiec Bossons i Aiguille du Gouter. Najłatwiejszą i najbardziej popularną jest droga przez Gouter i ją też wybraliśmy. Żadna z tras nie jest wprawdzie znakowana, ale liczba odwiedzających górę ludzi jest tak wielka (przy dobrej pogodzie), że od początku do końca idzie się mocno wydeptaną ścieżką. Gdy warunki się psują - góra przestaje być przyjazna. Warto o tym pamiętać, gdyż każdego roku ginie kilkadziesiąt osób, które nie pamiętały lub zlekceważyły. Także obok raków, czekana i kawałka liny należy mieć ze sobą mapę i busołą oraz przynajmniej minimum wiedzy o ich wykorzystywaniu. Planując wejście na Mont Blanc trzeba odwiedzić mały domek przewodników i ratowników alpejskich, tuż obok kościoła w centrum

Chamonix, aby zapoznać się z prognozą pogody. Jej dokładność sięga godzin w dniu bieżącym i następnym, podawana jest dla poszczególnych rejonów. Oprócz prognoz dostępne są schematy dróg (turystycznych i wspinaczkowych), mapy, opisy, albumy ze zdjęciami, czasopisma - słowem można tam spędzić niejedną niepogodny dzień.

Większość ludzi wybierających drogę przez Gouter wsiada w Tramway do Mont Blanc i dojeżdża do Nid d'Aigle (2372 m npm). My jednak zrezygnowaliśmy z jego usług i ruszyliśmy bezpośrednio z Chamonix. Pierwszy dzień to podejście terenami leśnymi na przełęcz do Mont Lachat (2077), a więc tysiąc metrów deniwelacji. Na przełęczy stoją ruiny dawnej stacji tramwaju i wyciągu, jest więc nienajgorszy nocleg. Spać na trasie można w dowolnym miejscu. Często schroniska otoczone są namiotami osób chcących nieco zaoszczędzić. Wiele z nich mówi naszym najczystym językiem... Francuzi przymykają oko w zasadzie na wszystko. Wolno chodzić, latać na glajtach, jeździć na nartach, spać tam, gdzie się ma na to ochotę, nie można jedynie w sposób trwały zmieniać konfiguracji terenu... Alpy są zbyt wielkie, aby dostrzegano tam problemy wiecznie dyskutowane w Tatrach.

Z przełęczy, drugiego dnia, wyruszyliśmy wzdłuż torów tramwaju do Nid d'Aigle, następnie do les Rognes (2768), schroniska Tete Rouse (3167), schroniska na szczycie Aig. du Gouter (3863), Dome du Gouter (4303), aż do przełęczy du Dome (4255), gdzie spaliliśmy w namiocie.

Kilka uwag. Pomiędzy schroniskami Tete Rouse a du Gouter droga wiedzie skalistym żebrzem o trudnościach dochodzących w kilku miejscach może do II. Niemniej jest to jedno z bardziej niebezpiecznych miejsc na całej trasie. Z dwóch powodów. Po pierwsze, wchodząc na żebro przecina się żeleb biegnący spod wierzchołka Gouter, którym z częstotliwością raz na kilka minut spadają różnej wielkości kamienie. Należy więc przebiec(!) go jak najszybciej. Drugim, znacznie poważniejszym zagrożeniem są Inni turyści podążający w górę i na dół. Niemalże wszyscy z niewiadomych przyczyn idą tam związani (pomijając wspomniane miejsca II, trudności podejścia są znacznie mniejsze niż na tatrzańskie Orlej Perci)! Przewodnicy mają obowiązek prowadzić klientów będąc z nimi zwiazanymi i stanowią prawdopodobnie przykład dla pozostałych. Ponieważ teren jest wybitnie kruchy, liny ciągnięte pomiędzy członkami zespołów nieustannie stracają kamienie na idących niżej. Czyni to podejście wyjątkowo nieprzyjemnym i męczącym. Ponadto nieomal nikt z używających lin tak naprawdę nie ma o tym zielonego pojęcia. Przed wyprawą kupują liny, skorupy, raki, dziabki, uprząże i Gore-Texy w jednym z licznych sklepów w Chamonix i czują się już doświadczonymi turystami wysokogórskimi. Zupełnie odwrotnie niż u nas, gdzie zwykle na górskich ścieżkach spotyka się często ludzi zupełnie nie wyposażonych. Zjawisko ma oczywiście dobre i złe strony, banałem byłoby mówić o chodzeniu w sandałach i szpilkach w lecie, czy adidasach i z łyżką lub nożem (różne są preferencje) w roli czekana w zimie. Natomiast doskonale wyposaże-

nie i obecność liny sprawia, że turysta alpejski czuje się nieomal całkowicie bezpiecznym. A jest to przecież niczym nie uzasadnione. Złudne poczucie bezpieczeństwa zwiększa ryzyko - człowiek taki staje się mniej uważny, często wręcz nonszalancki. Powoduje zagrożenie dla członków swojego zespołu i wszystkich innych ludzi na trasie.

Na szczęście jest prosty sposób, aby uniknąć bombardowania kamieniami. Tłumy zaczynają się po przyjeździe pierwszego tramwaju, czyli około godziny ósmej. Wystarczy wyruszyć spod Nid d'Aigle choćby kwadrans wcześniej.

Drugą istotną sprawą jest całkowicie zlekceważona przez nas aklimatyzacja. Nie tylko nie byliśmy wcześniej choćby powyżej trzech tysięcy, ale i podczas podejścia, jednego dnia przemieszciliśmy się z 2000 na 4300. Na efekty nie trzeba było długo czekać - noc i następny dzień to potężny ból głowy i zmęczenie u całej czwórki, tak że zdobycie wierzchołka stało pod znakiem zapytania. Dopiero późnym popołudniem, trzeciego dnia, gdy kondycja nieco się poprawiła, weszliśmy na szczyt. Znacznie lepszym rozwiązaniem byłby nocleg w pobliżu schroniska na Gouter zamiast na przełęczy du Dome. Rozmawianie, że nocleg tak blisko wierzchołka będzie następnego dnia ułatwieniem w jego zdobyciu było złudne.



*Kopuła szczytowa Mont Blanc  
widoczna od przełęczy du Dome*

Decydując się na rozbić namiotu przy du Gouter trzeba natomiast pamiętać, aby wyjść odpowiednio wcześniej. Najlepiej przed głównym szturmem, który rozpoczyna się około 1 w nocy. Chyba że komuś pozostała miłość do kolejek ...

Odcinek pomiędzy Aig. du Gouter do przełęczy du Dome nie stanowi żadnych trudności. Droga prowadzi grzbietem śnieżnolodowym, niezbyt ostro wznosząc się. Orientacja nie sprawia żadnych problemów. Tuż za przełęczą stoi małe schronisko Vallot (4362), bez obsługi, gdzie noclegi są darmowe. Nie namawiam jednak nikogo na spędzanie tam nocy, gdyż w środku są (dosłownie) smród i brud. Jest to jednak, w razie załamania pogody, miejsce idealne. Dalej droga wiedzie nieco ostrzejszym grzbietem, czy wręcz miejscami granią lodową. Przy warunkach jakie zastaliśmy, na szczyt doszliśmy nie wyjmując z plecaka ani raków, ani liny. Przy większym załodzeniu ostatni

odcinek należałoby jednak pokonywać będąc związanym. Bardzo strome zbocza opadające w obie strony dawałyby niewielkie szanse na wyhamowanie. Wreszcie szczyt. Pełen najróżniejszych ludzi. Widok z wierzchołka raczej rozczarowuje niż zachwyca, może dlatego, że oczekiwania od najwyższej góry w Europie są duże.

Schodząc można tą samą drogą lub przez Mont Blanc du Tacul, lub tak jak my, przez lodowiec Bossons. Droga przez lodowiec wydaje nam się zdecydowanie ciekawsza, ale i bardziej wymagająca niż przez Aig. du Gouter i Mt Blanc du Tacul. Jest mnóstwo całkowicie odkrytych latem szczelin (szerokość dochodzi do kilku, głębokość do kilkudziesięciu metrów), wiele miejsc bywa również zagrożonych (zwłaszcza w środku dnia) obrywami kamienno-lodowymi z przylegającej ściany Gouter. Tu używanie liny jest konieczne, zwłaszcza że przez wiele szczelin trzeba po prostu skakać. Ale miejsca bombardowane kamieniami i lodem (poznać je nietrudno) lepiej pokonywać (biegiem!) z liną w plecaku. Od naszego doświadczenia i rutyny zależy decyzja, czy większym zagrożeniem są w konkretnej chwili obrywy, czy szczeliny. Na pewno należy unikać poruszania się w południe i w godzinach wczesnopołudniowych. Noc można spędzić w schronisku Grands Mulets (3051) lub jego pobliżu. Ceny w schroniskach kształtują się w okolicach 90-100 FFr, mając legitymację klubową jest szansa na 50% zniżki. Piszę „szansa”, bo formalnie PZA nie figuruje na listach organizacji zrzeszonych w UIAA będących w posiadaniu schronisk (lato '94), ale francuskojęzyczne napisy na pierwszej stronie legitymacji ułatwiają sprawę (swoją drogą jest paradoksem, że polska legitymacja klubowa upoważnia do zniżek w dowolnym kraju, pod warunkiem, że nie jest to Polska). Ostatni, czwarty, dzień to zejście z Grands Mulets do Chamonix, dość długie, ale w naprawdę pięknej scenerii. Poniżej la Jonction przechodzi się przez najtrudniejszy fragment lodowca - jego przełamanie, ice-fall, gdzie uszczelnienie jest największe na całej trasie. Po zejściu z lodu do pokonania pozostaje jeszcze niebezpieczny trawers Aiguille du Midi, narażony na lawiny kamienne. Potem już leśną ścieżką na dół, mijając wjazd do tunelu pod Mont Blanc.

### Matterhorn

Z Chamonix do Zermatt przejechaliśmy stopem w dwa dni. Zdarzało się, że brali nas we czwórkę z wielkimi worami właściciele samochodów osobowych. Od Visp leżącego u wylotu doliny Zermatt warto łąpać stopa docelowego, gdyż po drodze mało jest miejsc, gdzie można się zatrzymać. Ruch samochodowy kończy się w Täsch, 7 kilometrów od Zermatt. Dalej można jechać kolejką, albo (taniej) taksówką (5 FS). W całym Zermatt obowiązują zakaz ruchu pojazdów spalinywych, jest natomiast mnóstwo samochodów i mikrobusów elektrycznych. Jedyny w miasteczku camping położony jest tuż obok dworca kolejki i ładowiska gajtów, kosztuje 8 FS od osoby.

Jadąc do Szwajcarii warto zrobić we Francji większe zakupy, gdyż ceny wraz z przekroczeniem

granicy wzrastają mniej więcej dwukrotnie. Zmieniają się nie tylko ceny. Podczas gdy Chamonix jest głośnie, pełne samochodów, śpieszących się ludzi, wspinaczy, glajciarzy itd. Zermatt robi wrażenie miejsca spokojnego i sielankowego. Położone w końcu nieprzelotowej doliny otoczone jest górami, a sam Matterhorn, najsłynniejsza chyba góra świata, jest nie tylko symbolem Zermatt i Alp Walijskich, ale symbolem gór w ogóle. Oczywiście w Zermatt również są glajciarze, turyści i wspinacze, ale wydaje się, że toną gdzieś wśród swojego otoczenia, nie są jego istotą.

Amatorów zdobywania Matterhornu jest z oczywistych przyczyn zdecydowanie mniej niż Mont Blanc. Przy dobrej pogodzie na szczyt wchodzi dziennie około 100-150 osób, podczas gdy na Blanc blisko tysiąc. Najbardziej popularna od strony szwajcarskiej jest droga pierwszego zdobywcy, Whympera, granią Hörnli. Rozdziela ona ściany północną i wschodnią. U jej podnóża stoi schronisko Belvedere - Hörnlihütte (60 FS), obok niego można bezpłatnie rozbić namiot. Wspinaczka zajmuje dwa do trzech dni - pierwszego podejście pod właściwą drogę (częściowo można dojechać kolejką Zermatt-Schwarzsee - 25FS), drugiego wejście na szczyt i zejście do schroniska. Droga ma charakter skalny i śnieżnolodowy (w kopule szczytowej), trudności techniczne w znacznej części nie przekraczają II, jedynie kilka razy napotyka się III-IV i raz V - w kopule szczytowej (wiszą tam stałe liny poręczowe). Wejście można śmiało polecić osobom z rocznym, wspinaczkowym stażem tatrzańskim, jako tako obytym ze sprzętem, z minimalnym doświadczeniem zimowym. Jak wszędzie w Alpach, można oczywiście wynająć przewodnika - koszt takiej przyjemności przekracza jednak 15 milionów złotych.

Decydując się na wejście warto zwrócić uwagę na kilka szczegółów:

**Pogoda** - Prognozy umieszczane w biurze przewodników w Zermatt opracowywane są w Genewie, nie należy przywiązywać do nich wielkiej wagi. Niemniej idealna pogoda w dniu zamierzonego wejścia jest warunkiem nie tylko powodzenia, ale i bezpieczeństwa. Matterhorn, ze względu na swój kształt, często kumuluje wokół siebie chmury, nawet, gdy warunki dokoła są idealne. Podczas załamania pogody skała bardzo często pokrywa się cieniutką warstwą lodu i poruszanie bez szytywnej asekuracji staje się w zasadzie niemożliwe. Silny wiatr pojawiający się wówczas na grani może uniemożliwić poruszanie się w ogóle. Często jedynym ratunkiem staje się maleńki schron Solvaya stojący na grani na wysokości 4003m.

**Orientacja** - nie jest łatwa. Bardzo często napotyka się miejsca o narzucających się, choć błędnych wariantach. Droga nie jest w żaden sposób znakowana. Jedyne, co można zrobić, to poruszać się za jednym z zespołów z przewodnikiem.

**Skala** - jest wybitnie krucha. Gdyby istniał wzorzec kruchości skał, byłby nim z pewnością Matterhorn. Należy cały czas kontrolować poczynania innych ludzi, których ma się nad głową, gdyż bez przerwy zrzucają kamienie (kask niezbędny!). Szczególnie ważny jest wybór drogi - unikanie,

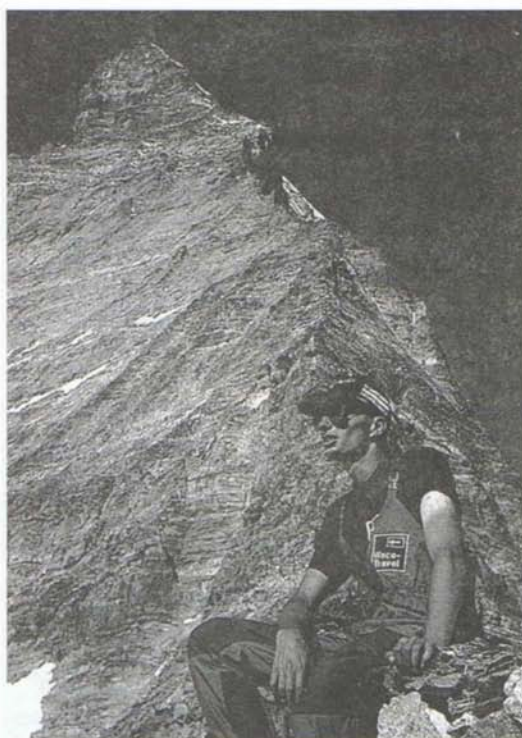
tam gdzie jest to możliwe, formacji wklęsłych. Istotna jest również umiejętność asekuracji w takim terenie, a w wielu przypadkach rezygnowania z niej.

**Woda** - najlepszym rozwiązaniem jest zabranie zapasu wody jeszcze z okolic Schwarzssee (przed dojściem do schroniska). W Belvedere za każdy litr musimy zapłacić 7 FS (110 tys zł!), na trasie natomiast śniegi pojawiają się dopiero pod kopułą szczytową, a lodowiec pod ścianą wschodnią jest bardzo zanieczyszczony i nie bardzo można go wykorzystywać do celów spożywczych.

**Sprzęt** - najlepsza jest lina 80-metrowa (ze względu na zjazdy). Ponadto konieczne są raki i dziabki oraz podstawowy sprzęt asekuracyjny - kilka haków, kości i pętli. Na drodze można znaleźć sporo stałych haków, spitów i stanowisk zjazdowych (również na zapychach).

Podjęając wejście na Matterhorn powinno mieć się minimum aklimatyzacji i kondycji. Spod Belvedere najlepiej wyruszyć między 3 a 4 rano. Późniejsze wyjście grozi napotkaniem kolejki schodzących ludzi przy linach poręczowych w kopule szczytowej. Przy dobrej pogodzie do schroniska powróci się za 10-12 godzin. Najlepsze warunki letnie panują od początku sierpnia do połowy września.

Chciałbym jeszcze, korzystając z okazji, serdecznie podziękować Generalnemu Dyrektorowi firmy Weco-Travel Poland Ltd za okazaną pomoc finansową. Był jedyną osobą, która wyraziła zainteresowanie naszym wyjazdem. Dzięki jego uprzejmości zostaliśmy wyposażeni w komplety gore-texowe oraz radiotelefony Icom (mające służyć na wspinaczce w Norwegii, dokąd koniec końców nie dotarliśmy, a okazały się przydatne w Alpach).



*Grań Hornli  
i wschodnia ściana Matterhornu*

## Lista alpejskich czterotysięczników

### 1. Masyw ECRINS - 2 szczyty

- Barre des Ecrins	4101 m
-Dôme de Neige des Ecrins	4015 m

### 2. Grupa GRAN PARADISO - 1 szczyt

-Gran Paradiso	4061 m
----------------	--------

### 3. Masyw MONT BLANC - 28 szczytów

-Aiguille de Bionnassay	4052 m
-Dôme de Goûter	4306 m (I)
	4304 m (F)
-Mont Blanc/Monte Bianco	4807 m
-Monte Bianco di Courmayeur	4765 m
-Picco Luigi Amedeo	4470 m
-Mont Brouillard	4068 m
-Punta Baretta	4006 m
-Grand Pilier d'Angle	4243 m
-Aiguille Blanche de Peutéry	4114 m
-Mont Maudit	4468 m (I)
	4465 m (F)
-Mont Blanc du Tacul	4248 m
-L'isolée	4114 m
-Pointe Carmen	4109 m
-Pointe Médiane	4097 m

-Pointe Chaubert	4074 m
-Corne du Diable	4064 m
-Dente del Gigante/ Dent du Géant	4014 m (I)
	4013 m (F)
-Aiguille de Rochefort	4001 m
-Dôme de Rochefort	4015 m
-Punta Margherita	4065 m
-Punta Elena	4042 m (I)
	4045 m (F)
-Punta Croz	4108 m (I)
	4110 m (F)
-Punta Whymper	4180 m (I)
	4184 m (F)
-Punta Walker	4206 m (I)
	4208 m (F)
-Les Droites	4000 m
-Aiguille du Jardin	4035 m
-Grande Rocheuse	4102 m
-Aiguille Verte	4122 m

### 4. Alpy Walijskie - 41 szczytów

-Combin de Valsorey	4184 m
-Combin de Grafeneire	4314 m
-Combin de la Tressette	4141 m

-Dent d'Hérens	4171 m (CH)		
	4179 m (I)		
-Monte Cervino/Matterhorn	4477.5 m (CH)	1. Masyw ECRINS - 1 szczyt	
	4478 m (I)	-Pic Lory	4086 m
-Dent Blanche	4357 m		
-Bishorn	4153 m	2. Grupa GRAN PARADISO - 1 szczyt	
-Weisshorn	4508 m	-Il Roc	4026 m
-Ober Gabelhorn	4063 m		
-Zinalrothorn	4221.1 m	3. Masyw MONT BLANC - 18 szczytów	
-Breithorn W West	4164 m (CH)	-Piton des Italiens	4003 m
	4165 m (I)	-Pointe Bravais	4057 m
-Breithorn centrale/central	4159 m (CH)	-Pointe Bayeux	4258 m
	4160 m (I)	-La Grande Bosse	4513 m
-Breithorn E (Est/Ost)	4139 m (CH)	-La Petite Bosse	4547 m
	4141 m (I)	-Rochers de la Tournette	4677 m
-Breithornzwillinge E/ Gemello del Breithorn orient. (Punta 4106)	4106 m	-Pic Eccles	4041 m
-Roccia Nera	4075 m	-Aiguille de la Belle Etoile	4354 m
-Pollux/Polluce	4092 m (CH)	-Aig. Blanche de Peutérey, pointe NW	4104 m
	4091 m (I)	-Aig. Blanche de Peutérey, pointe SE	4107 m
-Caster/Cástore	4228 m (CH)	-Pointe Mieulet	4287 m
	4221 m (I)	-Pointe de L'Androsace	4107 m
-Lyskamm W/Lyskamm occident.	4479 m (CH)	-Terzo Pilastro del Col Maudit	4064 m
	4481 m (I)	-Gendarme del Col Maudit	4032 m
-Lyskamm E/Lyskamm orientale	4527 m	-Mont Blanc du Tacul, punta E	4247 m
-Punta Giordani	4046 m	-Pilier du Diable	4067 m
-Piramide Vincent	4215 m	-Pointe Croux	4023 m
-Corno Nero	4322 m	-Pointe Eveline	4026 m
-Ludwigshöhe	4341 m (CH)		
	4342 m (I)	4. Alpy Walijskie - 24 szczyty	
-Parrotspitze/Punta Parrot	4432 m (CH)	-Aiguille du Croissant	4243 m
	4436 m (I)	-Gendarme à SE du Combin de la Tsessette	4088 m
-Signalkuppe/Punta Gnifetti	4554 m	-Dent d'Hérens, L'Epaule	4040 m
-Zumsteinspitze/Punta Zumstein	4563 m	-Dent d'Hérens, Gendarme crochu	4075 m
-Dufourspitze/Punta Dufour	4633.9 m	-Dent d'Hérens, la Corne	4148 m
-Nordend	4609 m (CH)	-Pic Tyndall	4241 m
	4612 m (I)	-Cervino/Matterhorn, vetta italiana	4476 m
-Strahlhorn	4190 m	-Picco Muzio	4187 m
-Rimpfischhorn	4198.9 m	-Dent Blanche, Grand Gendarme	4098 m
-Allalinhorn	4027.4 m	-Bishorn, Pointe Burnaby	4135 m
-Alphubel	4206 m	-Weisshorn, Grand Gendarme	4331 m
-Täschhorn	4490.7 m	-Zinalrothorn, L'Epaule	4017 m
-Dom	4545 m	-Felixhorn/Punta Felix	4093 m (CH)
-Lenzspitze	4294 m		4088 m (I)
-Nadelhorn	4327 m	-Lyskammnase/Naso del Lyskamm	4277 m
-Stecknadelhorn	4241 m	-Roccia della Scoperta/ Entdeckungsfels	4178 m
-Hohbärghorn	4219 m	-Balmenhorn	4167 m
-Dirruhorn	4035 m	-Grenzgipfel	4618 m
-Weissmies	4023 m	-Ostspitze	4632 m
-Lagginhorn	4010 m	-Lenzspitze, Grand Gendarme	4091 m
		-Dom, Grand Gendarme	4468 m
5. Alpy Berneńskie - 9 szczytów		-Alphubel, Sommet N	4116 m
-Aletschhorn	4195 m	-Alphubel, Sommet NE	4128 m
-Jungfrau	4158.2 m	-Alphubel, Sommet S	4166 m
-Mönch	4099 m	-Rimpfischhorn, Grand Gendarme	4108 m
-Gross Fiescherhorn	4048.8 m		
-Hinter Fiescherhorn	4025 m	5. Alpy Berneńskie - 1 szczyt	
-Gross Grünhorn	4043.5 m	-Wengen Jungfrau	4089 m
-Finsteraarhorn	4273.9 m		
-Schreckhorn	4078 m	6. Grupa Berniny - 1 szczyt	
-Lauteraarhorn	4042 m	-Punta Perrucchetti/ La Spedia	4020 m
6. Grupa Berniny - 1 szczyt			
-Piz Bernina	4049.1 m		
Razem: 82 szczyty		Razem: 46 szczytów	

# Maroko Climbing Trophy



Fot. Tadeusz Kuchno

Nie mogę oprzeć się pokusie, aby historię naszego wyjazdu rozpocząć od nawiązania do kilku sytuacji, które miały miejsce rok wcześniej.

Jechaliśmy właśnie do Hiszpanii, a ja nie zważając na ogólny opór wyjeżdżających maltretowałam ich pomysłem „zahaczenie” o Maroko... Byłam zachwycona swoim pomysłem do momentu, gdy nie znaleźliśmy się w pociągu relacji Barcelona-Malaga. Przedział był ośmioosobowy z czego oprócz mnie i Jacka Jurkowskiego było sześciu naćpanych i pijanych Marokańczyków. Siedziałam cichutko wciśnięta w kąt między drzwiami a Jackiem i przysięgałam na wszystkie znane mi świętości że nigdy, ale to nigdy nie pojedą do Maroka. I właśnie minął rok, ja śledząc za kierownicą mojego 11-letniego Forda Transita



Uczestnicy wyjazdu

pytałam Jacka czy zdaje sobie sprawę z tego gdzie jedziemy...

Granica między Hiszpanią a Marokiem była granicą w pełnym tego słowa znaczeniu, tak jakby przejście z dnia dzisiejszego do bardzo odległego wczoraj... Prowadząc samochód z przerwaniem wpatrywałam się w znaki drogowe, które właściwie przypominałyby nasze, gdyby nie posiadały „robaczek” zamiast liter. Na ulicach panowała wolna amerykanka, każdy robił co chciał, byłam chyba jedyną osobą używającą kierunkowskazów, ale i tak nie wiem czy ktokolwiek zwracał na to uwagę. Gdy przejeżdżaliśmy przez jakieś miasto Sebastian Kostkiewicz stwierdził „spójrz Renatko z jaką zazdrością patrzą na ciebie tutejsze dziewczyny...” To oczywiście było pretekstem do dywa-

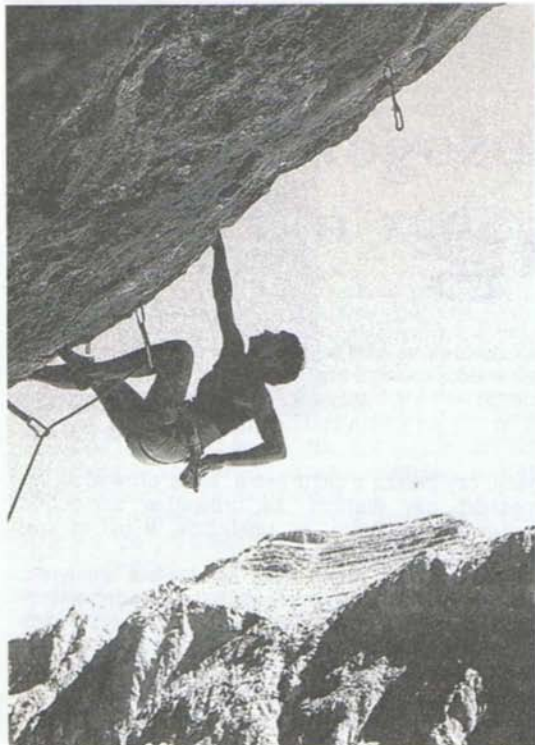
gacji, czy patrzą z zazdrością, bo ja prowadzę samochód, czy dlatego, że prowadzę samochód z pięcioma facetami na pokładzie, a był to kraj wszechwładnego islamu...

Przez Afrykę jechaliśmy kamienistą pustynią, drogą, na której z trudem mieścił się jeden samochód, a mijanie było nie lada wyczynem. Każde mijanie się mogło przebiegać dwutorowo: w przypadku, gdy nadjeżdżający samochód był dużo lepszy lub dużo mniejszy można było nie zjeżdżać z drogi, w przypadku, gdy samochód był dużo gorszy lub dużo większy należało niezwłocznie skorzystać z pobocza... Przez długi odcinek drogi Adam Potoczek wykazywał prawdziwie alpinistyczną psychę (siejąc postrach wśród „dzikich”), niestety trafił na kierowcę, któremu było wszystko jedno, co skończyło się dla nas utratą lewego lustka i anteny.

Gdy w końcu po prawie pięciu dniach ciągłej jazdy dotarliśmy do Todry widok, który zobaczyliśmy wynagrodził nam wszystkie trudy podróży. Wąwóz prezentował się imponująco - potężne wapienne skały ciągnące się wzdłuż rzeki upstrzonej kępami palm. Niestety, po głębszej penetracji okazało się, że był to przerost formy nad treścią - dużo skał mało dróg. Tubylcy - Berberowie okazali się niezwykle sympatyczni, poza tym wielu z nich mogło się wykazać prawie biegłą znajomością języka polskiego - potrafili powiedzieć „na zdrowie”... Przypuszczam, że były to pozostałości po odwiedzinach licznej braci wspinaczkowej z Polski. Przez 10 dni prowadziliśmy intensywną działalność wspinaczkową i jedyne co nas stopowało to niesamowita ostrość skały. Często zmuszeni byliśmy wcześniej kończyć wspinanie nie z powodu zmęczenia, lecz z powodu „braku skóry”. Wyjazd kosztował mnie trzy pary nowych butów wspinaczkowych!

Cały pobyt w Maroku przypadł na czas ramadanu, trochę się tego obawialiśmy, ale muszę przyznać, że nie był on dla nas szczególnie uciążliwy. Zgodnie z zasadą „business is business” wszystkie sklepy stały dla nas otworem...

Trudno opisać atmosferę wyjazdu, na którym byłam jedyną przedstawicielką pięci pięknej i słabej pośród pięciu przedstawicieli pięci brzydkiej i silnej, i to na dodatek w kraju muzułmańskim!!! W trosce o moje bezpieczeństwo (wersja ofi-



ła się dobrze zapowiadająca kariera naszego kronikopisarza...

Wspinaczkowo podzieliliśmy się na trzy zespoły - Adam wspinał się z Piotrkim, Jacek z Sebastianem, a mnie dostał się szambonur Tadek Kuchno. Bez przesady, po tym wyjeździe mogę doktoryzować się z teorii wspinania jaskiniowego, ani razu nie wspinając się tam. O wszystko mogłabym się posądzić, ale nie o to, że związę się liną z ... jaskiniowcem!! Przy okazji tworzyliśmy z Tadkiem niezwykle tandem - kierowca (ja) i jego pilot (Tadek). Przemierzaliśmy razem setki kilometrów spędzając po kilkanaście godzin za kierownicą (i obok)... Najsmypatyczniej było w Afryce - noc, wąziutka droga wśród kamienistej pustyni i nasz ford zagubiony gdzieś, nie wiadomo gdzie. Gdy ogarnęło mnie zmęczenie, zatrzymaliśmy się na „małą czarną”, jeśli było gdzie, lub piliśmy na poboczu kawę z termosu.

Gdy przejeżdżaliśmy przez Rabat, stolicę Maroka, wszyscy już spali, a my o pierwszej w nocy postanowiliśmy zwiedzić medynę (arabskie stare miasto). Oczywiście ze względu na ramadan ruch w mieście był taki jak u nas w południe. Zaparkowaliśmy samochód tak jak wszyscy - na zakazie - i poszliśmy zwiedzać. Nigdy w życiu nie widziałam takiego miejsca - wąskie uliczki ze straganami po obu stronach, przysiółki: pasta, mydło i powidło.

Krzyki i nawoływania sprzedawców, odór mięsa, oleju, spalenizny i odchodów mieszały się z duszącym zapachem wschodnich perfum. Trzeba było uważać, żeby nie podeptać czegoś lub kogoś - orient w swym najpierwotniejszym wydaniu. Byliśmy tam jedynymi Europejczykami i czułam się tak, jak musi się czuć Murzyn na ulicy w Polsce. Weszliśmy do „sklepu” w którym sprzedawali słodczy „miodowe turbany”, gdy nagle wszyscy zamilkli i patrzyli na nas jak na UFO. Atmosfera była taka, że jedyne co zdołałam wykrztusić to - „Tadziu, chodźmy do innego sklepu.” W sumie kupiliśmy te „turbany”, ale były tak mdłe, że całą noc odchorowywaliśmy nasze łakomstwo. Afryka pod wieloma względami była szokująca, rano i wieczorem było tak zimno, że nie wiedzieliśmy co na siebie włożyć, natomiast w południe temperatura dochodziła do +57°C. Każda doba cechowała się tzw. kompozycją ramową: spanie, śniadanie, wspinanie, kolacja, spanie. Od czasu do czasu byliśmy zapraszani przez znajomego Berbera na kus-kus, zacieśniając tym braterskie więzy polsko-berberyjskie. Najgorsza była ta pierwsza wizyta, gdy musieliśmy zapomnieć o panoszącej się amebie i czynnie uczestniczyć w konsumpcji. Będąc pod wrażeniem opowieści o chorobie spowodowanej amebą, gotowaliśmy wszystko i wszędzie. Największą ostrożnością wykazywał się jednak Jacek, który oprócz tego, że wszystko gotował, to jeszcze moczył w jakimś fioletowym roztworze - kokietując wszystkich niebiańskim uśmiechem...

Wyjeżdżając z Maroka, w ciągu jednego dnia przeżyliśmy trzy „strefy klimatyczne” - w Todrze było 50°C, 100 km dalej była taka burza piaskowa, że nie mogłam utrzymać kierownicy, a 300 km dalej musieliśmy zawrócić, bo nasypało metr śniegu... Przez pogodę nie dotarliśmy pod Tubkal,

cja) wszyscy bez przerwy charakteryzowali mnie „na chłopaka” terroryzując mnie poleceniami typu: noś czapkę i ciemne okulary, ubierz długie spodnie, odślaniaj dłonie i przedramię... Jakoś dzielnie to znosiłam do momentu, gdy Jacek przed wyjściem do miasta nie stwierdził - ściągnij kolczyki, wyglądasz w nich zbyt... kobieco! Przyjęłam to z oburzeniem, po czym kasjer w banku w którym wymieniałam pieniądze (oczywiście w przebraniu) „zastrzelił” mnie pytaniem - jesteś dziewczyną czy chłopakiem, nie nosisz żadnych ozdób, kolczyków, pierścionków... Zaniemówiłam z wrażenia.

Wyjeżdżając z Polski obawiałam się, że będę jedną osobą na której skupią się wszystkie żarty i docinki, ale los okazał się dla mnie łaskawy, był z nami Sebastian Kostkiewicz! On i jego złote myśli typu - kto to jest bratowa? - bratowa to siostra brata, były hitem wyjazdu!! Sebastian cały czas torturował mnie pochwałami na temat wiasnych nóg, twierdząc, że tak zgrabnych nóg jak on, to nawet ja nie mam. W którejś z kolejnych edycji pochwał, wymyślił, że z takimi nogami mógłby nawet grać w reklamach telewizyjnych. Nie mogąc powstrzymać ataku śmiechu odpowiedziałam, że tak niewątpliwie - jako WC-PIKER!!!

Jak na dobrą wyprawę przystało mieliśmy w swoim składzie nadwornego Galla Anonima, który skrupulatnie notował wszystkie zdarzenia i wypowiedzi. Wszyscy czailiśmy się na jego notes chcąc „ocenić wiarygodność” przekazu, niestety pogodził nas jakiś złodziej z Malagi, który po prostu ukradł Piotrkowi Kasprzykowi plecak z dokumentami i notesem. I tak niefortunnie zakończy-

a moje koflasy służyły Sebastianowi do przewożenia butelek z Jasiem Wędrowniczkiem.

Gdy dotarliśmy do El Chorro, poczuliśmy się jak w domu. Jest to prawdziwy wspinaczkowy eden i właśnie tu padły nasze najtrudniejsze drogi. Wszyscy przyzwyczailiśmy się, że dla Jacka drogi 7c stały się standardowym OS-em, a gdy poprowadził trzecie 8a OS, zaczęliśmy się przyzwyczajać do innych standardów...

Każdy z nas miał swoje sukcesy, ja również poprowadziłam 8a RP, Sebastian niestety spadł z ostatniego przechwyty. Oprócz tego drogi 7a, 7b, 7c były na porządku dziennym. Jedyne alpinista w naszym zespole - Adam poprowadził 7b OS, czym jak przypuszczam „zagiał” niejednego skałkowego pakera, a szambonur Tadiusz pokonał przewieszony 7a OS. Nie mniej dzielnie spisywał się najmłodszy adept wspinania - Piotrek, który wykazywał niezwykle wprost upór w walce z oporną skałą.

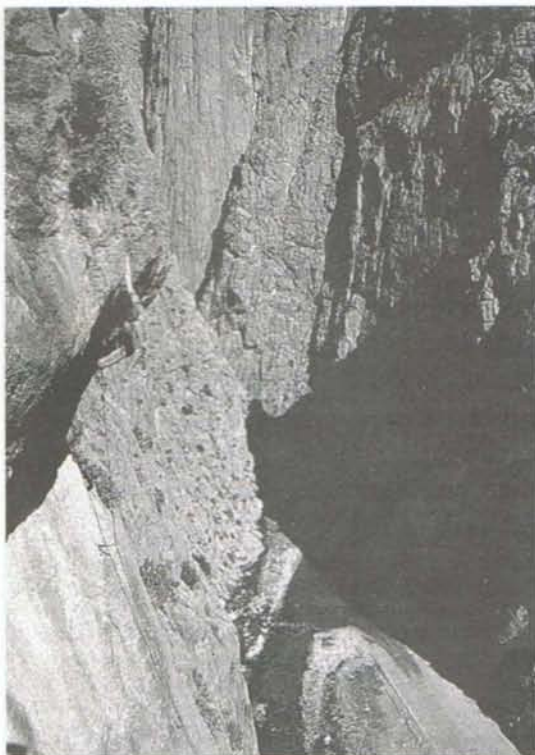
I tak powoli kończyła się nasza przygoda z Marokiem. Bez większych problemów dotarliśmy do Polski z żalem żegnając się z beztróskim czasem. Rozstając się zażartowałam, że musimy od siebie



odpocząć, bo zaczniemy cierpieć na chorobę marynarzy... Ale już następnego dnia, będąc jeszcze w północy, pomyślałam - muszę już wstać, bo zaraz Sebastian wytrzepie mnie ze śpiwora... Otworzyłam oczy i... uśmiechnęłam się do siebie - przecież ja już jestem w domu!

Tomasz Samitowski, Krzysztof Zieliński

## Zima w MarOKU



Krzysztof Zieliński na drodze „Otra de los Holadses (6C) Fot. B. Fic

Na przełomie grudnia '94 i stycznia '95 pięciorosobowa grupa krakusów w składzie: Monika Niebalska, Grzegorz Zajda, Boguś Fic, Krzysztof Zieliński i Tomasz Samitowski wspinająca się po wapiennych ścianach wąwozu Todra, położonym 500 km na wschód od Marrakeszu. Dwa lata wcześniej odwiedzili ten rejon wrocławianie.

Odpowiednia szerokość geograficzna miała zapewnić nam komfortowe warunki do uprawiania wspinaczki skalnej, działalności raczej problematycznej o tej porze roku w Europie. Jak się okazało, mieliśmy sporo szczęścia natrafiając na wyjątkowo sprzyjającą aurę. Opady śniegu w styczniu nie należą tutaj podobno do rzadkości.

Dotarcie do wąwozu Todra zajęło nam pięć dni podróży, przerwanej kilkudniowym postojem w El Chorro w Hiszpanii, gdzie próbowaliśmy odnaleźć pozostawioną tam rok wcześniej formę. Na miejscu byliśmy 25 grudnia i już nazajutrz rzuciliśmy się wygodnie na apetycznie wyglądające ściany czerwonego wapienia - a jest on w Todrze bardzo twardy, szorstki i dobrze urzeźbiony.

W kanionie znajduje się około 130 ubezpieczonych dróg o trudnościach od 5+ do 8A+. Większe ściany kanionu oferują nawet 300-metrowe wspinaczki, gdzie przydają się kości i friendy. Początkowo mieliśmy spore trudności z lokalizacją poszczególnych dróg, gdyż nie wydano jeszcze przewodnika po tym rejonie. Dopiero odkrycie hotelowej „książki wyjść”, do której wspinacze wpisują nowe przejścia, znacznie ułatwiło nam



„Odbiła mi palma”

Fot. B. Fic

zadanie. Wpisy w tej księdze świadczą o tym, że większość odwiedzających wawóz wspinaczy to Francuzi i Hiszpanie. Z tymi ostatnimi nawiązaliśmy bardzo serdeczną znajomość podczas sylwestrowych szaleństw, zaś dzięki zakupionej na promie wodzie ognistej otwarły się przed nami serca Berberów - rdzennych mieszkańców tej części Maroka.

Po zapoznaniu się ze specyfiką miejscowego wspinania zrobiliśmy kilka ciekawych przejść. W sektorze Tacos Nord („sektor z kozą”) Monika Niedbalska pokonała drogę o trudnościach 7B, w sektorze Can Gullich drogę „Porno Berber” (7B), w Petit George drogę „Sant Siurana” (7B). Naszymi najciekawszymi przejściami były: „El Depredator” (7C), „Tuareg” (7C) oraz „Mus-hasi” (7C+). Ta ostatnia jest jedyną sportową drogą Polaków na kontynencie afrykańskim (poprowadzili ją wrocławianie). W trójkowym zespole (Fic, Zieliński, Samitowski) pokonaliśmy najbardziej strzelistą formację w kanionie - 300-metrowy Piller Couchant. Nie popłacił nam przy tej okazji wyniesiony z Tatr zwyczaj zrywania się na nogi przed świtem - przez całą drogę uciekaliśmy przed słońcem, szcękając zębami w cieniu.

Do pełni szczęścia brakowało nam niestety wiertarki akumulatorowej (nie udostępnionej nam przez Komisję Skalkową PZA) i wiaderka spitów - ciągnące się kilometrami dziewicze płyty wciąż cierpliwie czekają na swoich pogromców. Może za rok...

## SALON SPORTOWO-ALPINISTYCZNY

# W.I.P.sport

Warszawa, ul. Mariensztat 21 a

### *Oferujemy:*

SPRZĘT WSPINACZKOWY (Petzl, Camp, DMM, Lucky, EDELRID)

SPRZĘT TURYSTYCZNY (Camping Gas, Epi)

ROWERY (Trek, SCHWINN, Jazz, Liyang)

BUTY TREKKINGOWE (Salomon, Scarpa, Trezeta)

ODZIEŻ „POLARTEC” (Alpinus, MASER)

ODZIEŻ „GORE-TEX” (Alpinus)

oraz

Wiele innych ciekawych rzeczy, takich jak: namioty, śpiwory, karrimaty, bielizna antypotna, kurtki „Yeti”, akcesoria rowerowe i narciarskie.

### **Zapraszamy:**

Poniedziałek - Piątek 11.00 - 19.00, Sobota 10.00 - 15.00

*Organizujemy kursy wspinaczkowe wraz ze Szkołą Alpinizmu „W PIONIE”*

# „Turyści ze Zakopanego”

W dniach 15-16.10.1994 r. (bez biwakowania - nonstop) zespół: Arek Gąsienica-Józkowy i Pierre Merlin przeszedł drogę na Pn - ścianie Wielkiego Filaru Narożnego. Droga Boivin-Vallencant wraz z prostowaniem (dwa wyciągi V, 90°) TD. Zajął nam ona około 12 godzin od podstawy do wierzchołka filara. Samą drogę przeszliśmy w bardzo dobrych warunkach, natomiast kontynuacja do wierzchołka Mt. Blanc de Courmayeur (poprzez grań Peuterey) zajęła nam dodatkowo kilka godzin marszu w śniegu do kolan.

Na początku zimy 94/95 przebywało w Chamonix kilku zakopiańczyków, byli to: Maciej Cukier, Andrzej Lejczak, Piotr Konopka. Dwaj ostatni członkowie KW Zakopane przyjechali do Chamonix na tzw. turystykę, jak określił to Prezes KW Zakopane.

Zaraz na początku pobytu A. Lejczak oraz P. Konopka w trudnych warunkach przeszli drogę Escarra na Pn - ścianie Aig du Chardonnet (ok. 600 m, lód do 80°, D+). Była to droga dla „złapania aklimatyzacji”.

11.12 zespół Maciej Cukier oraz Arek Gąsienica-Józkowy przeszli drogę Gabarrou / Albinoni na wschodniej ścianie Mt. du Tacul (550 m, 80°, TD-).



*Mont Blanc du Tacul, wschodnia ściana*

Przejście drogi zajęło nam ok. 4,5 - 5 h. Tą samą drogą przeszli również Andrzej Lejczak i Piotr Konopka.

Być w Alpach i nie wejść na Mt. Blanc? Jest to prawie niemożliwe. W związku z tym dwaj „turyści” z Zakopanego postanowili zdobyć ww. „pagór” drogą bynajmniej nie normalną, mianowicie przez Wielki Filar Narożny! Po kilkugodzinnych debatach przy góralskiej herbacie oraz grolu (rodzaj regionalnego napitku przewodników z Chamonix) została wybrana droga: Boivin-Vallencant. Niestety, jak się później okazało, nie było na niej tak dobrych warunków jak w październiku, ale czarny lód nie jest przeszkodą dla prawdziwego zakopiańskiego „turysty”. Przy temperaturze ok. -15°C, po kilkunastu godzinach Mt. Blanc został zdobyty. Jedną z atrakcji tego wejścia (poza czarnym lodem) był drobny zefirek dochodzący do 130-150 km/h wiejący z kierunku zachodniego, a powodujący, że moi koledzy maszerowali czasem na kolanach na odcinku Mt. Blanc du Courmayeur - Mt. Blanc. Ale nic to. Mt. Blanc został zdobyty przez dzielnych „turystów”, co też zostało odpowiednio uczczone przy uroczystej kolacji popijanej grolm. A było co popijać, ponieważ chwilę wcześniej, (14-15.12.95) zespół Laurent Theoleyre oraz Arek Gąsienica-Józkowy przeszedł na Wielkim Filarze Narożnym drogę Cecchinei-Nomine (TD+, V+, 80°, AO). Bazą całego wyjazdu było Le Vieux Grassonnet koło Argertiere.



*Aig. Noire de Puterey od pn. zachodu*

# Wiosna w Lavanoise

W dniach od 14.04 do 1.05.94 r. został zrealizowany nasz pomysł sylwestrowy, czyli wyjazd ski-alpinistyczny w Alpy.

W skład zespołu weszli Janusz Kurczab, Bogumił Ślęza, Tomek Ostromecki, Bohdan Kowalczyk.

Celem były Alpy Francuskie, a konkretnie Le Massif de Lavanoise. Rejon ten jest mało znany Polakom, leży w pobliżu miejscowości Val d'Isere i nie jest zbyt atrakcyjny wspinaczkowo, natomiast pod kątem ski-alpinizmu jest rewelacyjny.

Wyjazd nie zapowiadał się interesująco, ponieważ z prognoz przedwyjazdowych wynikało że w Alpach spadło sporo śniegu. Podróż, którą odbyliśmy swoimi samochodami, była męcząca ze względu na padający deszcz. Słońce zaświeciło nam dopiero po przejechaniu 2000 km, ale w górach było jednak widać sporo świeżego śniegu.

Na stałe zatrzymaliśmy się w miejscowości Bonneval, korzystając z tamtejszego schroniska Club Alpin Francais. Jest to znakomita baza noclegowa z ok. 15 miejscami, z dobrze wyposażoną kuchnią i bardzo tania, pod warunkiem że się ma z sobą książeczkę klubową z opłaconymi składkami. Wtedy ma się rabat (ok. 40 F), można również otrzymać taką zniżkę w innych schroniskach w górach.

Pogoda utrzymywała się słoneczna, z gór schodziły jednak lawiny, postanowiliśmy iść na wyciągi których ceny nie odbiegały od Kasprowego, a jazda była ciekawsza. Część tras została zamknięta ze względu na lawiny, ale i tak nie można było narzekać.

Następnego dnia udaliśmy się na tzw. eksplorację na przełęcz Col Girard (ok. 3000 m). Przełęcz osiągnęliśmy z trudem, korzystając z kompasu i altimetru oraz mapy, ponieważ panowała gęsta mgła. Zjazd nie dostarczył nam wielu radości, był głęboki ciężki śnieg i zerowa widoczność.

Kolejnym naszym celem był odległy o 20 km Pointe du Grand Vallon (3130 m). Miał inną wystawę stoku, w związku z tym trafny wybór wynagrodził nam bardzo pięknym, długim zjazdem po sflorowanym stoku o średnim nachyleniu 30°.

Następnego dnia rana wyszliśmy do schroniska Des Evettes. Dojście zajęło nam pół dnia. Skoro świt zaatakowaliśmy Pointe Francesetti (3425 m). Pogoda i warunki dopisały, zjazd okazał się bardzo interesujący, - ok. 40° do przełęczy, a potem ładnym lodowcem do schroniska.

Pogoda utrzymywała się dobra, postanowiliśmy wejść na L'Albavan (3637 m) i wykonać dość trudny i ciekawy zjazd do doliny Averole. Niestety, obfity opad śniegu w nocy zmusił nas do szybkiego odwrotu. Przy znacznym zagrożeniu lawinowym zmuszeni byliśmy do zjazdu do Bonneval.

Tym razem, żeby przeczekać okres złych warunków, wybraliśmy się na narciarstwo wyciągowe 20 km dalej do Mt. Cenis. Było tam taniej niż w Bonneval i na pewno już taniej niż na Kasprowym, a warunki do jazdy były jeszcze atrakcyjniejsze.

Czas uciekał i zbliżał się okres powrotu, chcieliśmy jakoś uhonorować ten finał. Kolejnym celem był La Grande Casse (3855 m). Jest to najwyższy szczyt tego masywu, według przewodnika zaliczany jest do 10 najciekawszych szczytów ski-alpinistycznych. Posiada 1400 m deniwelacji w tym 400 m kuluaru o nachyleniu 40°.

Narty na szczyt wniosłem sam, koledzy zostawili je pod kuluaru i zdobyli szczyt pieszo. Ze szczytu udało mi się zjechać, ale było to dla mnie duże przeżycie, a w końcu radość.



*Bogumił Ślęza i Bohdan Kowalczyk w drodze na Pointe Grand Vallon*

Tego samego dnia zjechaliśmy spod schroniska Faure, przez całą dolinę ok. 27 km do samochodu, którym do Bonneval było drugie tyle.

Był to błąd, z tego schroniska chcąc dostać się na dno doliny trzeba przekroczyć południową ścianę Grande Casse, którą schodzą potężne lawiny. Znowu nam się udało, ale drugi raz bym tak nie przejechał.

Żeby zakończyć jakoś optymistycznie to nie ujmując piękna i uroku naszym Tatrom, chcę stwierdzić, że w Alpach czuję się pewniej, tu żaden „Filańc” nie da mi mandatu...

Jeśli ktoś wybiera się w Alpy i chciałby zasięgnąć szczegółowych porad odnośnie trudności zjazdów polecam przewodnik „260 Sommets des Alpes” R. Klappert Randonnées à ski, można go nabyć tylko na miejscu. Cena 150 F.

# VII Memoriał Jana Strzeleckiego

## – Dolina Chochołowska

### 25 lutego 1995 r.

Już po raz drugi Memoriał został rozegrany jako Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Narciarstwie Wysokogórskim. Zmarły tragicznie w 1988 roku patron zawodów był znanym polskim filozofem, działaczem politycznym, narciarzem oraz miłośnikiem gór.

Reguła zawodów w tej dyscyplinie nie jest ściśle ustalona i może przybierać różną postać zależnie od koncepcji organizatorów. Zawodnicy uczestniczący corocznie w Memoriale mają do pokonania w zadanym czasie kilkunastokilometrową trasę. Powinna ona przebiegać przez teren przynajmniej w części o charakterze wysokogórskim i pokonywać względną różnicę wysokości od 1 do 2 tys. metrów. W zawodach biorą udział dwuosobowe zespoły, a o liczbie zdobytych przez nie punktów decydują: czas przebycia fragmentu podejścia - od 300 do 500 m różnicy poziomów oraz czas wykonania zjazdu terenowego o podobnym do podejścia przewyższeniu. Dodatkowo punkty można uzyskać zaliczając fragment nadobowiązkowy tzw. facultative. Tego roku organizatorzy zaproponowali przejście z Polany Chochołowskiej przez Iwaniacką Przełęcz na grzbiet Ornatku, Siwą Przełęcz, Starorobociański i Kończysty Wierch, a powrót do schroniska na Polanie Chochołowskiej przez Dolinę Jarząbczą. Nadobowiązkowe miało być wyjście na Błyszcz.

Zwróciłiśmy się o zgodę na zorganizowanie zawodów do Tatrzańskiego Parku Narodowego. Jak wiadomo stosunki pomiędzy TPN a narciarzami „terenowymi” nie układały się nigdy najlepiej. Zeszłego roku tuż przed zawodami ich główny organizator Marek Głogoczowski, postawiony przed koniecznością zapłacenia 2 mln zł na rzecz TPN, poinformował Dyрекcję Parku, że zawody się nie odbędą, a ich uczestnicy przejdą na nartach, na własną rękę szlakami turystycznymi w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. Skutkiem tego wytoczono mu sprawę na kolegium ds. wykroczeń o samowolną zmianę trasy zawodów. Prawdą jest, że trasę zmienił ze względu na warunki śnieżne i nie uzgodnił tego z TPN, tyle tylko że przy okazji zawody odwołał, co jak się wydaje, uwadze wysokiego kolegium umknęło. Tego roku „...mając na względzie doświadczenia lat ubiegłych” Dyrekcja TPN nie wyraziła zgody na organizację zawodów. Dopiero zaręczenie własną głową za organizatorów przez Maćka Pawlikowskiego odpowiedzialnego z ramienia PZA za współpracę z TPN przełamało lody i w zamian za wcześniej wspomnianą trasę zaproponowano szlaki narciarskie na Grzesia i Rakoń oraz w Dolinie Wyżniej Chochołowskiej. Ponieważ jak na wymogi tego typu zawodów trasa była zbyt mała, zawodnicy musieli powtarzać odcinki Rakoń – Polana Wyżnia Chochołowska oraz Polana Chochołowska – Grześ. Oplatę za zorganizowanie zawodów wyznaczono tym razem w wysokości 500 zł. Gdyby nie uprzejmość właściciela sklepu Olimp, pana Jacka Łodzińskiego, który ofiarował niezbędne na ten cel pieniądze, spełniłaby ona

swoje zadanie stając się opłatą zaporową uniemożliwiająca odbycie zawodów. Składając w TPN tę opłatę, rozmawiałem z zastępcą dyrektora panem Stanisławem Czubernatem na temat naszych zawodów i narciarstwa w Tatrach. Dowiedziałem się, że ski-alpinizm jest w TPN całkowicie zabroniony, że turystyka narciarska dozwolona tylko na szlakach do tego przeznaczonych, że jedynie na tychże szlakach Memoriał będzie mógł być rozgrywany w przyszłości. Dyrektor Czubernat pozostawił promyk nadziei oznajmiając, że możliwe jest staranie się o odpowiednią zmianę przepisów TPN, które mają być modyfikowane w przeciągu najbliższych dwu lat.

Tegoroczne i miejsce w zawodach oraz nagrody: narciarskie wiązania turystyczne Silvretta 404 oraz czekan Charlet Moser, ofiarowane przez zakopiański sklep „Alpin Sport” i krakowską firmę handlową AMC (przedstawiciel Beal, Charlet Moser, Petzl) zdobyli Michał Parocki i Adam Matuszyny z Sekcji Narciarskiej Krakowskiego Klubu Wysokogórskiego. Następnie cztery miejsca zajęli wszyscy biorący udział w Memoriale zawodnicy słowaccy, a wśród nich tradycyjnie najlepsi okazali się narciarze-alpinisci z klubu w Ziarskiej Dolinie w Tatrach Zachodnich. Zaraz po Słowakach znaleźli się ratownicy TOPR, a dopiero po nich następnymi zawodnicy zrzeszeni w Klubach Wysokogórskich Krakowa, Warszawy, Wrocławia, Rzeszowa i Opola. Ogółem wystartowało 20 zespołów. Miłym akcentem było ufundowanie 20 osobiste wręczanie przez syna patrona zawodów – Jerzego Strzeleckiego nagród specjalnych dla najlepszego zespołu oraz najstarszego zawodnika.

Poza firmami Alpin Sport i AMC nagrody ufundowały krakowskie sklepy sportowe Olimp, Sezon, Maks, firmy Handlowe Nova z Krakowa, Himal Sport z Tych oraz magazyn Narty. W organizacji zawodów finansowo brała udział obok PZA i KW-Warszawa pani Jadwiga Strzelecka.

Na koniec chciałem podzielić się niezbyt odkrywczą refleksją, która jak widzę nie jest dla wszystkich oczywista. Oto Park, aby zwrócić naszą uwagę na zachowanie porządku w górach (zbieranie chorągiewek wyznaczających trasę i niezostawianie śmieci) oraz przestrzeganie innych przepisów, co roku podwyższa opłaty za organizowanie zawodów. My wobec tego szukamy firm gotowych w zamian za reklamę pokryć rosnące koszty. Reklama wymaga plakatów, relacji prasowych, telewizyjnych i radiowych. Środki masowego przekazu przyciągają gapiów. Z imprezy towarzyskiej i kameralnej wspólnie robimy publiczne widowisko. Wobec tego Park podwyższy opłaty, bo przecież obciążenie gór z racji organizowania zawodów się zwiększyło. No i kóko się zamyka. Czy taka jest intencja Dyrekcji TPN? Bardzo pragnąłbym wątpić, ale przychodzi mi to z dużą trudnością. Może więc zamiast haratać nartami kosówkę i zaśmiecać Park Narodowy przysypanymi przez śnieg i zagubionymi kilkoma chorągiewkami, lepiej będzie zostać w mieście, zając się zarabianiem na życie i samochód, a przyrodzie tatrzańskiej dać święty spokój, niech sobie w spokoju ginie w kwaśnych deszczach, przecież i tak nie jest nikomu do szczęścia w tej sytuacji potrzebna.

Józef Wala  
Sekcja Narciarska KW-Kraków



Nazwa drogi      Długość      Trud. klas      Trud. oblig

**Secteur Vieux de la Montagne:**

Empire des sens	180 m	ABO -	6 c
Vieux de la Montagne	180 m	ED	6 b
Toit des Monchus	180 m	TD +	A 2

**Secteur de grottes:**

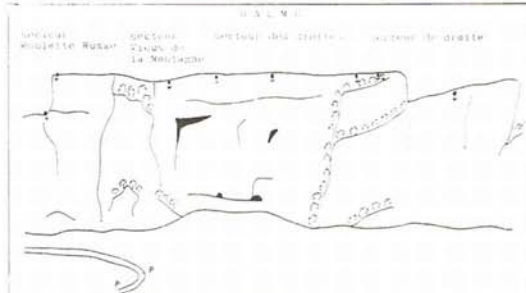
Realite non ordinaire	200 m	ABO -	6 b +
Le grand bleu	180 m	?	7 b ?
Les dents de l'amer	180 m	ABO +	
Zenith	200 m	ABO -	6 b +
Pinocchio	100 m	ED +	6 b +

**Secteur de droite:**

Jardins de Neptune	180 m	ED	6 b
Andromede	140 m	ED +	6 b +
Punk not dead	150 m	TD +	6 a +
UN apres-midi de chien	180 m	TD +	6 a

**Secteur Eclipse:**

Voyage de noces	60 m	7 c	6 b +
Eclipse	120 m	TD	6 a
Autoport	120 m	TD -	
Divine comedie	130 m	ED +	6 b +



Cassonade	180 m	ED +	6 a +
Cer veau lent	20 m	8 a	6 b
Un packte avec le malin	200 m	ED	A 3

**Secteur Gorbi:**

Baston Labaffe	160 m	ABO	6 c
L'oreille Cassee	180 m	TD +	6 a
Gorbi	160 m	ABO	6 b

**Secteur Xenon:**

Les tropiques	240 m	TD +	6 a
Xenon	240 m	ABO -	6 a +
Indiana Jaune	240 m	ED	6 a +

**Jerzy Pukowski**

**W Alpach Julijskich**

W latach 1993-1994 Speleoklub Bielsko-Biała zorganizował dwie wyprawy do Słowenii, w Alpy Julijskie, w rejon zwany Kriški Podi, położony na północny zachód od Triglava (2864 m n.p.m.), po przeciwnej stronie doliny rzeki Bistrica. Południowe ograniczenie tego obszaru stanowi górna (sucha) część doliny potoku Krajcarica, od zachodu dominuje nad nim masyw Planja (2447 m n.p.m.) wraz ze szczytem Goličica (2108 m n.p.m.). Natomiast od północy stroma, prawie 700-metrowa ściana opada do doliny Travno Brdo (patrz załączona mapa).

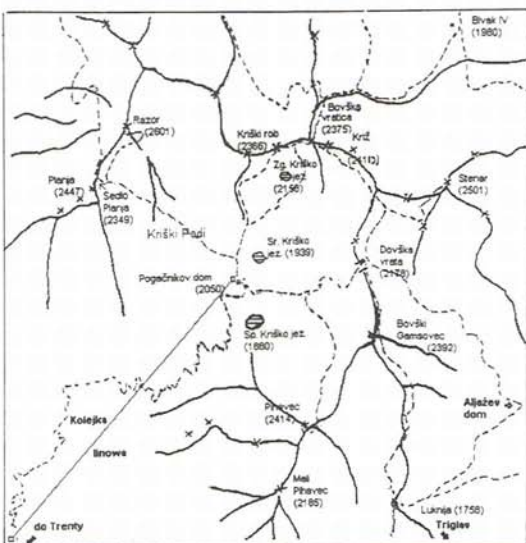
Teren ten znajduje się w granicach Triglavskiego Parku Narodowego i prowadzenie tam eksploracji musi być poprzedzone uzyskaniem zezwolenia dyrekcji parku.

Obszar ten odwadniany jest głównie przez głęboko wcięty potok Krajcarica (deniwelacja pomiędzy wywierzyskami na wysokości ok. 725 m n.p.m. a najwyższej położoną, odkrytą przez nasze wyprawy, jaskinią R-9 wynosi prawie 1700 m). Znacznie mniejsze znaczenie ma dolina potoku Bistrica. Północne ściany szczytu Razor (2601 m n.p.m.) są odwadniane w kierunku doliny Travno Brdo.

Pierwsza wyprawa wyjechała z kraju dwoma samochodami (volkswagen bus i duży fiat) na przełomie lipca i sierpnia 1993 roku w składzie: Lubomir Zawierucha - kierownik, Jerzy Ganszer, Marcin Koniór, Tomasz Gajda, Sebastian Potok, Tomasz Frazik, Dariusz Krysta i Jerzy Pukowski. Odkryliśmy 35 jaskiń, w tym dwie o głębokości przekraczającej 100 m (KP-1: -193,4 m oraz KP-7: -236,8 m).

Druga wyprawa wyruszyła z Polski z końcem sierpnia 1994 roku w składzie: J.Pukowski - kierownik, Joanna Dobija, Anna Michalska, T.Gajda, S.Potok,

T.Frazik oraz kierowca P.Sobaniak. Jej celem było dokończenie eksploracji w rejonach rozpoznanych w roku poprzednim, spenetrowanie kotła Sr. Kriško jezera, rejonu przełęczy Dovška Vrata (2178 m n.p.m.) oraz kotlinki między szczytem Pihavec (2414 m n.p.m.) a Bovški Gamsovec (2392 m n.p.m.). Ponadto uczestnicy wyprawy spenetrowali wiele obliczający teren położony na północ od grani łączącej Stenar (2501 m n.p.m.) z Križem (2410 m n.p.m.) oraz dolinkę położoną po zachodniej stronie Razora (2601 m n.p.m.) wraz z liczącą 800 m ścianą opadającą do doliny Krnica. Efektem tych poszukiwań było odkrycie lub ponowne odnalezienie 35 jaskiń (najgłębsza - DP-3: -107 m).



# VERDON

Hakowe wspinaczki „big wall” mające najczęściej zwolenników w USA przeżywają swój renesans także na ścianach europejskich. Popularnym miejscem spotkań i miernikiem postępu jest Paroi Rouge (Red Wall) w Verdon, leżąca blisko prawego końca Escales. Ta 250-metrowa absolutnie stroma ściana jest sceną kilku imponujących nowych dróg powstałych w ciągu ostatnich lat.

W dniach 9-13.03.1994 r. Jean-Francois Hagenmuller z Jean-Christophe Lafaille i Danielem Villaval wytyczyli 11-wyciągową, niezmiernie eksponowaną drogę „Le Jeu des Perles de Verre”. Pokonuje ona kilka ogromnych przewieszek w centralnej części ściany, by osiągnąć szczyt wywieszający się ponad 30 m nad punktem startu. Trudności na czterech wyciągach to „moderne” A4, a tylko na pierwszym i dwu ostatnich schodzą poniżej A2.

Leżąca tuż na prawo „Atlantide” to droga Hagenmullera i Remi Lecluse z 1993 o trudnościach ED3 (A4 i 6a obl.). Dotychczas doczekała się dwóch powtórzeń, pomimo wielu ataków, które załamywały się na trzecim, kluczowym wyciągu, gdzie jeden ze zdobywców zaliczył 20-metrowy lot. Ostatniego lata nie powiodło się także Alainowi Ghersenowi, którego solowy atak odparł właśnie ów kluczowy trzeci wyciąg, oferujący dłuższe odcinki A4 na skyhookach delikatnie pracujących w małych dziurkach. Natomiast Lafaille był tym, któremu się udało, wspinając się samotnie i pokonując średnio 2 wyciągi dziennie, przeszedł kluczowy wyciąg i resztę drogi.

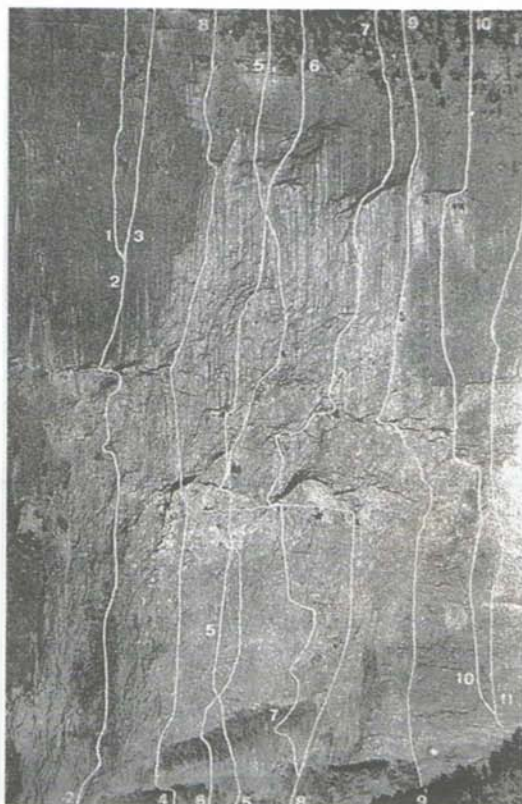
Pierwszy wyciąg „Atlantide” jest wspólny z drogą „Guy Heran” – popularnym klasykiem na ścianie z 1970. Jest to 12-wyciągowa droga z długim trawersem w lewo w połowie wysokości ściany. Pod nim trudności są tylko klasyczne 4 i 5+, natomiast nad nim, gdzie droga prowadzi wyraźnymi rykami w czerwonym wapieniu jest V+ i A1 z dwoma miejscami A2.

Zespół Michel Fauguet / Marc Guiot jest autorem dwóch dróg na ścianie. W centralnej najbardziej przewieszzonej części ściany zrobili oni w 1986 roku drogę „Les Secrets de la Mer Rouge” ED3:6b i A4. Krzyżuje się ona w kilku miejscach z drogą „Le Jeu des Perles” i doczekała się jak dotąd dwóch powtórzeń, każde po pełnych 3 dni. W 1992 roku ten sam zespół pokonał lewą połącz ściany. Powstała droga „Metallic KO” to ED3, podobnie jak wiele innych na tej ścianie oferuje trudności A4, ale także klasyczne 6C.

Natomiast drogi w prawej części ściany to: „Mescalito” z 1976 o trudnościach A1, 6c obl., powszechnie przechodzona z 60-70 punktami hakowymi i obecnie dobrze wyposażona, co pozwoliło na jej przejście całkowicie klasyczne jak 8a i biegnąca obok „Kallistee” poprowadzona w 1993 przez H. Guigliarelli i K. Maze A3, 6a+ obl., obecnie jedyna kompletnie wyposażona i przechodzona klasycznie ok. 7c.

W 1993 na prawo od „Guy Heran” pokonano jedną z najtrudniejszych dróg na ścianie. Zdobywcy Arnaud Boudet, Frederic Gentet i David Ravel nazwali ją „Voleurs, Mefiez-vous!”, ponieważ

podczas wspinania zniknął ich plecak pozostawiony pod ścianą. Ta 11-wyciągowa droga oferuje w swojej górnej połowie nieprzerwane trudności A3 i A4, co czyni ją wyjątkowo wyjątkową. Wspinająca się trójka zaliczyła cztery biwaki w ścianie i co godne polecenia osadziła jedynie 15 spitów łącznie ze spitami stanowiskowymi.



Verdon, Paroi Rouge 250 m

- 1) „Univers Cerceral”, 80 m, droga ubezpieczona ze zjazdu z wierzchołka, 1987, 6b+
- 2) „Metallic KO” (nie ubezpieczona), ED3:A4/6c, 1992
- 3) „Oublier pour Tenir” także ubezpieczona od góry w 1991, 7a, dług. 80 m
- 4) prostowanie do „Guy Heran”, Crspo/Louis/Olsewski, 1971, ED3 A3/4
- 5) „Les Secrets de la Mer Rouge”, 1986, ED3: A4, 6b
- 6) „Le Jeu des Perles Verre”, 1994, ED3: A4
- 7) „Atlantide”, 1993, ED3: A4, 6a
- 8) „Guy Heran”, 1970, ED1, 5+ /A2
- 9) „Mescalito”, 1976, ED1, A1/6c
- 10) „Kallistee”, 1993, A3, 6a+
- 11) „Interlope”, 1977, ED2/3, A3, 6a

Nie pokazano drogi „Voleurs, Mefiez-vous!”, 1993, ED3, A4, 6a+, biegnącej pomiędzy (8) i (9).

J.F.



# Gouffre Soudet Pierre Saint-Martin

Pirenejski masyw Pierre Saint-Martin od dawna cieszy się nie malejącą sławą wśród speleologów całego świata. Zgodnie uznawany za jedną z kolebek nowoczesnej eksploracji użytkowo-poszukiwawczej, będącej w ścisłym związku z kulturą agrarną i ochroną środowiska, jest rejonem o dużej intensywności ruchu jaskiniowego. Prace badawcze prowadzone są w ścisłej współpracy Fédération Française de Spéléologie, administracji terenowej oraz koordynującej działania ARSIP (Association de Recherches Spéléologiques Internationales à la Pierre Saint-Martin) - międzynarodowej organizacji powołanej do prowadzenia poszukiwań w PSM, której prezydentem jest pan Michel Douat.

PSM, leżący w północno-zachodniej części Pirenejów Atlantyckich (Kraj Basków, pogranicze francusko-hispańskie), hydrologicznie podzielony jest między systemy podziemnych rzek: Saint-Vincent, Saint-Georges, Riviere Z, Gorge de Kakouetta z pośrednim wywierzyiskiem La Pierre - Trou du Renard (-106 m). Znaczna miąższość wapiennego masywu przywodzi do domniemania o możliwości uzyskania wyniku 1907 m, przy połączeniu z partiami Cifu w Réseau Arphidia poprzez Salę Verna. W centrum zainteresowania eksploratorów znajduje się jednak aktualnie wywierzyisko jaskini Réseau Kakouetta ze znacznie zaawansowanymi pracami połączeniowymi w kierunku Riviere St-Vincent.

Najgłębsze jaskinie masywu PSM to:

- Las Puertas de Illamina (Laminako Ateak) -1408 m
- Pierre Saint-Martin -1342 m
- BT6-Gouffre Soudet -1166 m.

Ciekawostkę stanowi fakt kulminacji tzw. systemów wielkich sal w jaskiniach: PSM - St.-Vincent, Lonne Peyret - Riviere L.P., BT6 - Riviere Soudet i Chipi Joseteko, na tym samym pęknięciu tektonicznym o rozwinięciu południowo-zachodnim.

W sierpniu 1994 r. w opisanym powyżej rejonie działała środowiskowa wyprawa Speleoklubów: Dąbrowa Górnicza i Aven Sosnowiec. Naszym celem było trawersowanie jaskini Pierre Saint-Martin (-1342 m) oraz przejście jaskini BT6-Gouffre Soudet (-1166 m) z eksploracją kwadratów B i BT, ze szczególnym uwzględnieniem penetracji Bois de Leche, otworów BL102, BL112. Już na miejscu przydzielono nam także rejon d'Ahuzthequia do penetracji powierzchniowej.

W trakcie zakładania bazy rozpoczęliśmy rekone-

sansę i poręczowanie w rejonie bazy dolnej Bois do Soudet. Jaskinia BT6 okazała się nieprzychylna naszemu zamierzeniu. 12 dni poręczowania z osadzaniem spitów w trakcie biwaków pośrednich i niezwykle uciążliwe transporty w wąskiej, zraszanej wodą jaskini, skonsolidowały zespół, którym wyżej podpisany miał honor kierować.

W wyniku czterotygodniowej działalności osiągnęliśmy następujące rezultaty:

- pierwsze polskie trawersowanie Pierre Saint-Martin na odcinku SC3 - Gouffre du Belfroi - Bassaburuko Lezia - tunei EDF, z zejściem na dno Sali Verna, głębokość trawersu -1067 m, Dariusz Pięta i Grzegorz Kuśpiel z poręczowaniem w czasie akcji, bez wsparcia i korzystania z pontonierek;
- dwa kolejne powtórzenia powyższego przejścia w zespołach 6- i 5-osobowych;
- pierwsze polskie przejście (trzęcie w ogóle) jaskini Gouffre Soudet (-1166 m), Ryszard Rapacz, Jarosław Radka, Ryszard Ziarnowski;
- pierwsze trawersowanie Gouffre Soudet pomiędzy najwyższym otworem BT6 a nowo odkrytym otworem Gouffre Kongélateur, prowadzącym na -1000 m, głębokość trawersu 1157 m, Marcin Kozieł, Grzegorz Badurski, Zbigniew Świątek.

Długość głównego ciągu PSM wynosi 9100 m, a BT6 7100 m. Soudet jest jaskinią niezwykle wąską na pierwszym kilometrze długości, z osławionym Meandrem Buffis, zwanym w literaturze francuskiej „ósmym cudem świata speleo”. Wyprawa działała w oparciu o dwie bazy odległe o około 3 km: dolną - Bois de Soudet i górną - Arre Planere. Dysponowaliśmy łącznością radiową, co znakomicie ułatwiało prowadzenie akcji i zaopatrzenia. Nieocenione usługi oddała nam możliwość korzystania z materiałów topograficznych oraz szczegółowego syntetycznego opracowania masywu autorstwa S.Puisaisa, udostępnionych przez ARSIP. Na rok 1995 otrzymaliśmy zapewnienie zezwolenia na kontynuację eksploracji Gouffre Kongélateur (kierunek Trou du Renard) we współpracy z klubem CRES Merigniac (Bordeaux) oraz jaskini Chipi Joseteko po hiszpańskiej stronie masywu.

W wyprawie udział wzięli: Grzegorz Badurski, Tomasz Gorgoń, Marcin Kozieł, Grzegorz Kuśpiel (zastępca kierownika), Anna Nazarko, Andrzej Nowak, Piotr Oleksy, Dariusz Pięta (kierownik), Mariusz Polak, Jarosław Radka, Ryszard Rapacz, Robert Stocki, Paweł Szwed, Zbigniew Świątek, Ryszard Ziarnowski.

# Stanowisko w sprawie stanowiska



Fot. J. Gótnicka-Mościcka

*Motto: Za stanowisko idealne  
ktoś kiedyś dostanie Nobla...*

W „Taterniku” 2/1988 ukazał się bardzo ważny artykuł Henryka Mierzejewskiego, zatytułowany „O wykorzystaniu punktów asekuracyjnych na stanowisku”. Główną myśl autora można streścić w słowach: Energię upadku wspinacza wolno skierować wprost na punkty stanowiskowe tylko wtedy, jeśli są one absolutnie pewne. Przy braku zaufania do nich, do procesu hamowania upadku należy włączyć ciało asekurującego, licząc się nawet z możliwością wyrwania go ze stanowiska.

Przyjęcie takich założeń wydaje się być ze wszech miar słuszne, gdyż oddalają one, na ile jest to tylko możliwe, groźbę wyrwania całego stanowiska asekuracyjnego wraz z jego obsługą. Mając na uwadze powyższe wskazówki teoretyczne, warto prześledzić, jak w praktyce asekurują się rozmaite nacje. Ciekawych informacji na ten temat dostarczają zarówno liczne podręczniki wspinaczki, jak i potoczne obserwacje czynione „w skałach

i lodach świata”. Wystarczy umiarkowana bystrość, aby zauważyć „narodowy” charakter preferowanych sposobów asekuracji oraz typowe dla nich błędy.

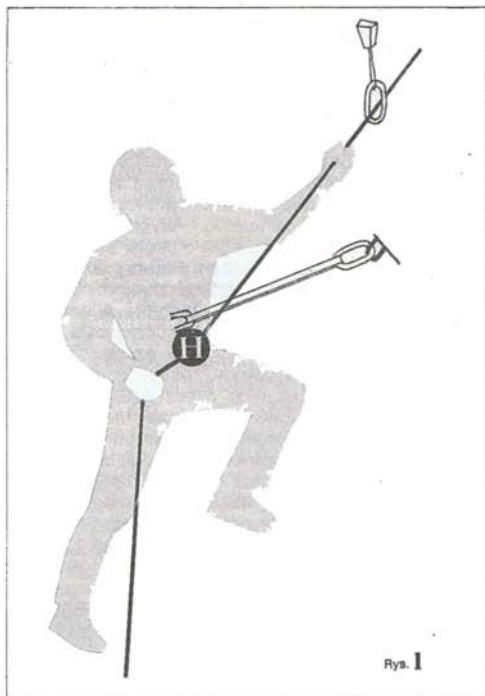
Generalnie można dokonać podziału na szkołę niemiecką oraz resztę świata, gdyż zasadniczo tylko wspinacze niemieckojęzyczni prowadzą asekurację bezpośrednio z punktów stanowiskowych. Wszyscy inni na różne sposoby realizują postulat włączenia do łańcucha asekuracyjnego ciała osoby ubezpieczającej. Problem polega na tym, że albo nikt nie ma ochoty na to, by stosować rozwiązania oferowane przez inne szkoły, albo bezkrytycznie aplikuje obce metody, które w konkretnych sytuacjach mogą być zupełnie nieodpowiednie. Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że nie ma uniwersalnej recepty na każdą okazję. Można jedynie pokusić się o próbę znalezienia takich rozwiązań, które sprawdzą się w większości typowych sytuacji. Zanim to uczynimy, przeanalizujemy różne koncepcje budowy stanowiska asekuracyjnego.

## Szkola polska

W polskiej teorii asekuracji mocno zakorzeniony jest pogląd akcentujący ochronę stanowiska poprzez amortyzujące działanie ciała osoby ubezpieczającej. Za zasadę przyjmuje się rozdzielenie funkcji punktów asekuracyjnych na stanowisku, gdzie jeden z nich (lepszy?) spełnia rolę punktu autoasekuracyjnego, drugi zaś służy do przepięcia liny biegnącej do partnera (rys. 1). Asekurujemy się przez opasanie ciała liną lub – coraz częściej – przez wpięty do uprząży przyrząd. Takie rozwiązanie chroni do ostatka punkt autoasekuracyjny, gdyż najpierw zostaje obciążony (wyrwany) punkt przelotowy na stanowisku, potem następuje wyrwanie asekurującego, a dopiero na końcu zostaje obciążone „auto”.

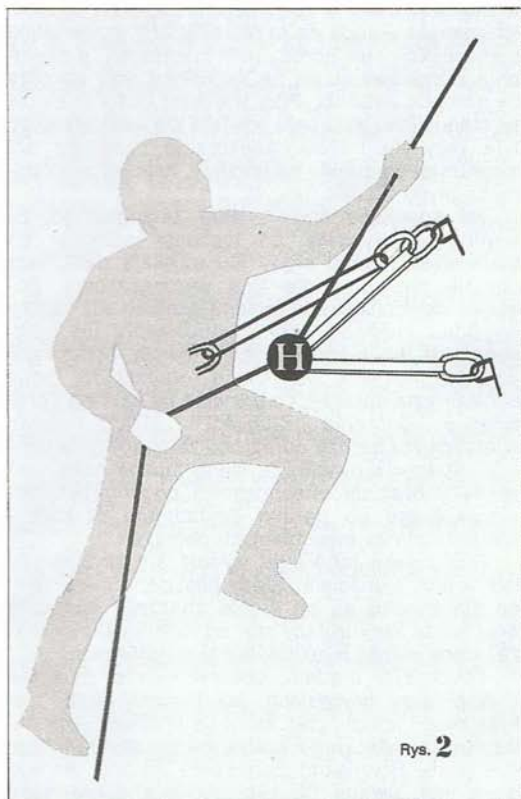
Kontrowersyjną natomiast sprawą jest rozstrzygnięcie, który z punktów na stanowisku jest lepszy i zasługuje na miano autoasekuracyjnego. Błąd w ocenie może spowodować upadek ze stanowiska, co tylko w najlepszym przypadku kończy się na strachu...

Wydaje się słuszne, że wskazania rodzimej szkoły można stosować tam, gdzie na stanowisku mamy dwa dobre haki lub równie niezawodne – hak i kostkę. Asekurację na takim stanowisku należy zawsze wpląć do haka – nigdy do kostki.



Rys. 1

Najczęściej spotykanym błędem u polskich wspinaczy jest zbyt długie „auto”, co w przypadku wyrwania ze stanowiska pociąga za sobą dwa skutki. Po pierwsze, ubezpieczający sam może doznać obrażeń, a po drugie, wskutek chwilowej dezorientacji może on utracić kontrolę nad przesuwaniem się liny, co w konsekwencji oznacza niebezpieczne wydłużenie lotu partnera.



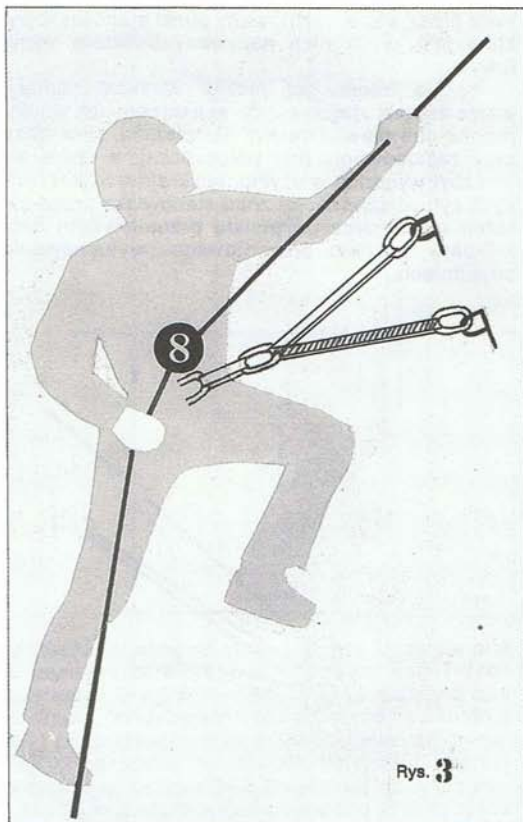
Rys. 2

### Szkola niemiecka

Wspinacze niemieckojęzyczni, a ostatnio również czescy, pozostają pod silnym wpływem doktryny Pita Schuberta. Na drodze eksperymentów ustalili on mianowicie, że wyrwanie ze stanowiska osoby ubezpieczającej w stosunkowo małym stopniu ochrania „auto”, natomiast stwarza ryzyko zmniejszenia jej sprawności w kluczowym momencie wychwytywania odpadnięcia. Drugim ważnym spostrzeżeniem było stwierdzenie faktu, że dwa punkty pracujące wspólnie są pewniejsze, niż jeden, jeśli tylko spełnić warunek, aby kąt łączących je pętli nie przekraczał 90 stopni. W ten sposób powstaje stanowisko samonastawne, a zakręcany karabinek typu HMS, wpięty w utworzony przez przekręcenie pętli „precelek”, jest jego punktem centralnym. Asekuracja jest prowadzona z owego karabinka z pomocą półwyblinki, a sam ubezpieczający wpina się do jednego z punktów na stanowisku (rys. 2). Przyjęcie takiej koncepcji sprawia, że energia upadku godzi bezpośrednio w stanowisko, które może tej niezwykle trudnej próbie nie sprostać. Wyrwanie jednego punktu powoduje dynamiczne obciążenie punktu drugiego...

Widoczne są natomiast dwie istotne zalety. Stanowisko samonastawne działa automatycznie w wielu kierunkach, zaś ubezpieczający może precyzyjnie kontrolować przesuwanie się liny, gdyż szarpnięcie nie powoduje wyrwania go ze stopnia czy półki. Reasumując, można zaryzykować wniosek, że stanowisko typu niemieckiego jest bezkonkurencyjne przy absolutnie pewnych punktach asekuracyjnych, pod warunkiem jednak, że są to haki lub spity.

W razie potrzeby założenia stanowiska wyłącznie z kostek, friendów lub innych przyrządów pracujących tylko w jednym kierunku, konieczne jest zbudowanie go w kształcie litery „Y”, gdzie punkty stanowiskowe są chronione przed wyrwaniem do góry przez dodatkowy punkt kontrujący oraz przez ciało wspinacza przypięte krótkim „autem” do punktu centralnego. Warto tutaj zwrócić uwagę, że stanowisko założone z dwóch kostek zamocowanych przeciwstawnie jest w gruncie rzeczy stanowiskiem z jednym tylko punktem asekuracyjnym.



Rys. 3

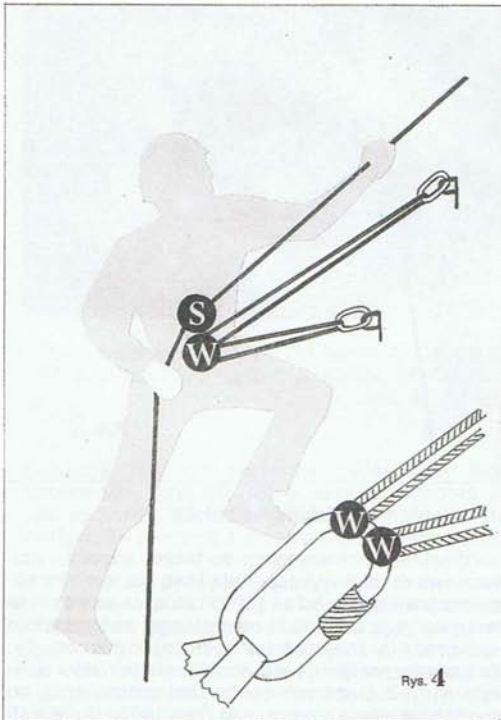
### Szkola francuska

Wspinacze francuscy, a także włoscy, stosunkowo rzadko wykorzystują ideę stanowiska samonastawnego, a jeżeli już to robią, to autoasekurację wpinają do punktu centralnego, zaś przyrząd asekuracyjny (najczęściej ósemkę) – do upręży. Za zasadę przyjmuje się obciążenie punktów asekuracyjnych ciężarem osoby ubezpieczającej, co upodabnia nieco stanowisko francuskie do wersji

„Y”. Zostaje zatem spełniony podstawowy warunek stawiany przez szkołę polską, a mianowicie włączenie do układu asekuracyjnego ciała człowieka. Pozostają jednak stare mankamenty. Nadal istnieje ryzyko utraty kontroli nad przesuwem liny, gdyż wyrwanie któregośkolwiek z punktów stanowiskowych powoduje gwałtowne obsunięcie się ubezpieczającego. Co więcej drugi punkt na stanowisku znów zostaje obciążony dynamicznie, co jak już wykazano – grozi wyrwaniem całego stanowiska. Najbardziej niebezpieczna jest sytuacja, kiedy słabszy punkt jest usytuowany znacznie powyżej punktu mocniejszego.

Dlatego w szkole francuskiej znacznie częściej łączy się punkty stanowiskowe za pośrednictwem 2 niezależnych pętli o dobrej długości (rys. 3) lub z pomocą liny, co nawiasem mówiąc jest wyjątkowo łatwe przy zastosowaniu liny dwużyłowej, gdzie po prostu jedną żyłę przypina się do jednego punktu, a drugą do drugiego. Wspinacze romańscy często też przepinają (za pośrednictwem dodatkowego karabinka) linę biegnącą do partnera przez wyżej usytuowany punkt stanowiskowy, który jest przez nich nazywany punktem wysyłowym.

Szkole francuskiej można zarzucić nadużywanie ósemki zjazdowej do asekuracji. Jak wiadomo ma ona niewielkie siły hamowania, zwłaszcza przy zastosowaniu liny pojedynczej, a także nie jest zbyt wygodna w użyciu. W skrajnie niekorzystnych sytuacjach (np. lot z nad stanowiska przed założeniem pierwszego punktu przelotowego) daje znikome szanse prawidłowego wyhamowania opadnięcia.



Rys. 4

Brytyjczycy poszli nieco odmiennym tropem niż wspinacze kontynentalni. Wyspiarska teoria asekuracji zaleca dwie zasady warte skrótowego omówienia. Po pierwsze, centralny punkt stanowiskowy zawsze znajduje się na uprząży asekurującego, a po drugie, poszczególne punkty na stanowisku są łączone w spoczynkowo angielski sposób. Ich metoda polega na przepięciu liny przez punkt stanowiskowy jak przez punkt przelotowy, a następnie zamocowaniu jej na karabinku przy uprząży za pomocą wyblinki. Przy większej ilości punktów na stanowisku po prostu powiela się ilość przepięć tyle razy ile trzeba. Asekurację prowadzi się z centralnego punktu na uprząży, najczęściej z pomocą płytki Stichta (rys. 4).

Na specjalne podkreślenie zasługuje to, że wspinacze brytyjscy do łączenia punktów na stanowisku niemal nigdy nie używają pętli, lecz chętnie posługują się liną wspinaczkową. Pozornie skomplikowana metoda okazuje się bardzo wygodna zarówno przy zastosowaniu lin pojedynczych jak i podwójnych. Równie praktyczne jest przeniesienie wszystkich regulacji na punkt centralny na uprząży, co pozwala na szybkie i precyzyjne dobranie długości „auta”, nawet w przypadku bardzo odległego zamocowania punktów stanowiskowych. Za wadę można natomiast poczytać brak samonastawności, co zmusza ubezpieczającego do bardzo dokładnego przewidywania kierunku ewentualnych obciążeń.

Stanowisko tego typu wydaje się korzystniejsze w tych sytuacjach, kiedy poszczególne punkty na stanowisku są od siebie znacznie oddalone oraz kiedy asekurujący stoi od nich daleko, a także, kiedy jakość punktów budzi wątpliwości.

Pospolitym błędem, obserwowanym zarówno u wspinaczy brytyjskich, jak i romańskich, jest brak kostki kontrolującej, która na stanowiskach budowanych wyłącznie z kostek ma znaczenie fundamentalne. Brytyjskim panaceum na ten mankament jest, uwaga (!), rezygnacja z ochronnego punktu przelotowego umieszczanego zwykle zaraz ponad stanowiskiem (to bez wątplienia dość kontrowersyjne rozwiązanie opisał J. Wolf w swojej relacji ze wspinaczek w północnej Walii). My w takich sytuacjach zwykle próbujemy podnieść bezpieczeństwo poprzez zwiśnięcie na znacznie wydłużonym „aucie”.

### Pierwsze wnioski

Jak widać, żadna z zaprezentowanych koncepcji budowy stanowiska asekuracyjnego nie jest idealna. Nikt wprawdzie nie twierdzi, że założenie stanowiska „pancernego” nie jest możliwe, na ogół jednak wymaga to osadzenia większej liczby punktów asekuracyjnych, na co w prawdziwym alpinizmie nikt nie ma ani czasu, ani ochoty, a niekiedy i sprzętu. Pozostaje zatem zakładanie stanowisk z dwóch lub trzech punktów, co w praktyce oznacza konieczność twórczego podejścia do problemu i wprowadzania rozwiązań stosownych do okoliczności. Procedura zawsze jest taka sama. Najpierw należy zapewnić sobie autoasekurację, następnie (jeśli jest to konieczne) osadzić dalsze punkty i dopiero na końcu dokonać wyboru jednej

z wielu koncepcji budowy stanowiska asekuracyjnego. Odwrócenie tego schematu, tj. forsowanie urzeczywistnienia z góry wybranej wizji (niekiedy wbrew oczywistym przeciwwskazaniom) najczęściej nie prowadzi do niczego dobrego.

### Cechy dobrego stanowiska

Jak wiadomo, stanowisko jest kluczowym ogniwem w łańcuchu asekuracyjnym! Do jego podstawowych zadań należy zapewnienie autoasekuracji oraz asekuracji pierwszego i drugiego na linie. W dalszej kolejności można wymienić przydatność stanowiska do ew. prowadzenia akcji autoratownicznej bądź też możliwości dokonania zjazdu lub wejścia po linie. Już na pierwszy rzut oka widać, że stanowisko winno być na swój sposób uniwersalne, musi też zapewniać bezpieczeństwo całemu zespołowi w wielu sytuacjach. Aby lista była bardziej kompletna, należy dodać inne cechy dobrego stanowiska, jak np.:

- ostłonienie przed kamieniami, lawinami, ciekącą wodą etc.;
- zapewnienie wygody przebywania na stanowisku (które jest przecież swoistym gabinetem odnowy biologicznej);
- umożliwienie wglądu w ścianę, a zwłaszcza optycznego i głosowego kontaktu z partnerem;
- minimalizacja wysiłku w trakcie asekurowania.

Rzecz jasna, nie wszystkie wymienione warunki mogą być każdorazowo spełnione, takie niestety jest życie, ale nigdy nie wolno zrezygnować z solidnej autoasekuracji. **Dobre „auto” jest podstawą dobrej asekuracji.**

Generalnie należy unikać zakładania stanowiska w złym miejscu, a złe miejsce to takie, które nie spełnia **większości** postawionych wyżej wymogów. Bez wątpliwości trzeba myśleć. Przesadą jest zapewne poszukiwanie ostłoniętego stanowiska w litej, płytowej ścianie, ale już co najmniej nierozsądna będzie rezygnacja z tego wymogu w kruchym kominie czy w lawiniastym żlebie. Wybór złego miejsca na stanowisko jest na ogół wynikiem osłabienia czujności, nieznamomości opisu drogi, a najczęściej – wychodzenia na całą długość liny. W miarę możliwości należy unikać zakładania stanowisk bezpośrednio pod trudnościami technicznymi i pod kruszyczą. Dbajmy o rozsądny współczynnik odpadnięcia i o własną skórę. W końcu nie bez znaczenia jest też możliwość prowadzenia asekuracji dynamicznej. Skracanie wyciągów nie zawsze stanowi błąd – nierzadko dowodzi dojrzałości taktycznej prowadzącego.

### Bezpieczne stanowisko

Po tym przydługim wstępie można przystąpić do zaprezentowania **stanowiska Imienia wspólnoty europejskiej**. Jest ono konglomeratem różnych koncepcji i ma jedną niezaprzeczną zaletę: trzeba mieć naprawdę wyjątkowego pecha, żeby stało się z nim coś złego. A teraz po kolei:

● Autoasekurację należy zakładać przynajmniej z dwóch punktów. Jeżeli są one absolutnie pewne, można połączyć je pętlą samonastawną z precelkiem. Jeśli jakość punktów budzi jakiegol-

wiek podejrzenia, należy połączyć je w sposób zapewniający ich niezależną pracę.

Sprzęt łączący punkty stanowiskowe musi mieć wytrzymałość ok. 2000 kG (faktyczne obciążenie plus zapas bezpieczeństwa), co w praktyce oznacza konieczność zastosowania pętli o średnicy minimum 9 mm lub taśmy o szerokości 25 mm. W razie używania wyrobów z Kevlaru lub Spectry, powyższe parametry mogą wynosić odpowiednio 5,5 oraz 15 mm. Pętlę należy związać węzłem podwójnym zderzakowym, taśmę zaś węzłem równoległym. Trzeba też pamiętać o odpowiedniej długości końcówek wychodzących z węzła: 10 średnic przy linie i 3 szerokości przy taśmie.

● Kąt utworzony przez pętlę czy taśmę łączącą punkty stanowiskowe nie powinien przekraczać 60 stopni, a za granicę bezpieczeństwa należy przyjąć kąt prosty. Dalsze zwiększanie owego kąta jest już jawnie bezsensowne.

● Do połączenia upręży ze stanowiskiem najlepiej nadaje się linia, którą związany jest zespół. Jeśli jej brakuje, można posłużyć się pętlą lub taśmą o wytrzymałości porównywalnej z wytrzymałością liny.

● Do autoasekuracji należy stosować węzeł ósemkowy lub wyblinkę. Ta ostatnia musi być dobrze zaciśnięta na karabinku.

● Węzeł autoasekuracyjny, o którym mowa, należy wpiąć w karabinek centralny na stanowisku lub – jeśli zakładamy „auto” na wzór brytyjski – w karabinek centralny na upręży.

● Do autoasekuracji powinno się używać karabinka zakręcanego. Można tu zastosować dwa zwykłe karabinki, pamiętając jednak o tym, by ich zamki były ustawione przeciwnie.

● Punkt centralny powinien się znajdować powyżej środka ciężkości osoby ubezpieczającej i w miarę możliwości w zasięgu jej rąk. Długość „auta” należy dobrać tak, aby wszystkie elementy układu autoasekuracji były lekko naprężone, a ubezpieczający względnie unieruchomiony. W terenie eksponowanym asekurujący powinien obciążyć punkty stanowiskowe własnym ciężarem.

● W razie konieczności założenie stanowiska z kostek, należy obowiązkowo połączyć kostki autoasekuracyjne z przeciwnym punktem konturującym, umieszczonym poniżej.

● Przyrząd asekuracyjny należy wpiąć karabinkiem zakręcanym w linę spinającą uprząż. Zalecany węzeł do wiązania upręży jest węzeł ósemkowy. Węzeł skrajny tatrzański przy asekurowaniu z przyrządu umieszczonego na upręży jest niebezpieczny, ponieważ nie działa we wszystkich kierunkach.

● Przyrząd asekuracyjny musi być zwrócony w kierunku przewidywanego szarpnięcia. Do zalecanych przyrządów należą:

a) karabinek zakręcany HMS w formie gruszki (karabinki o innym kształcie są niebezpieczne, gdyż następuje w nich niezamierzone, samoczynne blokowanie węzła półwyblinki);

b) płytka Stichta, przy czym modele ze sprężyną są wyraźnie wygodniejsze w użyciu; płytka powinna być przymocowana do upręży za pośrednictwem linewki o długości 15-20 cm;

c) kubek Lowe'a, który w większości sytuacji powinien być zwrócony mniejszym otworem w kierunku karabinka.

● W trakcie ubezpieczania pod żadnym pozorem nie wolno wypuścić liny z ręki asekurującej. Dłonie muszą znajdować się w takiej odległości od przyrządu, aby nie nastąpiło uszkodzenie palców. Rozsądnie jest używać do asekuracji cienkich rękawiczek skórzanych. Klucik musi ryglować linę w dłoni!

● Prowadzący musi założyć pierwszy punkt przelotowy zaraz nad stanowiskiem. Punkt ten ochrania stanowisko i ma decydujący wpływ na bezpieczeństwo całego zespołu.

● Na stanowiskach górnych, w celu ubezpieczenia drugiego na linie, zaleca się stosować asekurację bezpośrednio z punktu centralnego na stanowisku. Do asekuracji należy w takiej sytuacji stosować zakrepany karabinek HMS i ubezpieczać z półwyblinki. Można też asekurować poprzez przyrząd wpięty do uprząży, ale lina musi biec do partnera przez punkt wysyłowy na stanowisku.

### Asekuruje człowiek

Przedstawiona wyżej procedura budowania stanowisk pozwala na bezpieczną asekurację w większości sytuacji górskich. Nie jest jednak – powtórzmy – receptą na każdą okazję. W sytuacjach nietypowych należy samemu ruszyć głową i, jak już powiedziano, twórczo podejść do problemu. Nie zapominajmy jednak o trzech prawdach:

- 1) dwa punkty wytrzymują więcej niż jeden;
- 2) ciało asekurującego ma właściwości amortyzujące;
- 3) stabilna pozycja ubezpieczającego ułatwia operacje linowe.

Byłoby jednak nierozsądnym uproszczeniem twierdzić, że solidne stanowisko, zbudowane według najlepszych nawet zasad, daje automatycznie gwarancję dobrej asekuracji. Niestety, tak nie jest. Szacuje się, że przynajmniej w połowie odpadnięć zakończonych wypadkiem, winę za obrażenia partnera ponosi asekurujący – zwykle wskutek spowodowania niepotrzebnego wydłużenia lotu. Okazuje się, że to właśnie człowiek jest najbardziej naważnym i jednocześnie najbardziej zawodnym ogniwem łańcucha asekuracyjnego. Chyba nie wszyscy o tym wiedzą, skoro widuje się

w górach osobników trzymających linę niedbale, asekurujących nieuważnie – słowem zachowujących się nonszalancko. Tymczasem trzeba zdać sobie sprawę z tego, że wydarzenia w trakcie odpadnięcia rozgrywają się w zawrotnym tempie. Wystarczy powiedzieć, że 10-metrowy swobodny lot trwa niespełna półtorej sekundy. Często też, z różnych powodów (zła widoczność, zła słyszalność), informacja o fakcie odpadnięcia dociera do ubezpieczającego z opóźnieniem i na jego reakcję pozostają już tylko ułamki sekundy. Trudno się więc dziwić, że w wielu sytuacjach asekurujący jest kompletnie zaskoczony i wówczas jego reakcje – już nie kontrolowane – są czysto obronne, i to poświęcone wyłącznie ratowaniu własnej osoby.

Skoro tyle wiadomo o ułomnościach natury ludzkiej, warto stosować takie metody asekuracji, które do pewnego stopnia eliminują zawodność człowieka. Najdalej idącą propozycją stanowią przyrządy asekuracyjne działające samoczynnie, takie jak „Antzbremse” Salewy czy „GRIGRI” Petzla. Są one jednak dość kosztowne i jeszcze nie całkiem doskonałe, a poza tym nie wszyscy lubią się obwiązać mechanicznymi gadżetami. Pozostają więc metody bardziej tradycyjne, z których za najbardziej uniwersalną można uznać asekurację za pomocą półwyblinki. Jedną z jej zalet jest możliwość prawidłowego wyhamowania liny poprzez odruchowe skulenie się w sytuacji zagrożenia (oczywiście pod warunkiem, że nie wypuścimy liny z rąk). Niezależnie jednak od indywidualnych upodobań w stosowaniu tej czy innej metody asekuracji, konieczne jest wytrenowanie czynności hamowania tak, aby stała się ona całkowicie automatyczna.

październik 1991

Ilustracje: Pomysł i szkice – Wojciech Leder, wykonanie – Jolanta Górnicka-Mościcka.

Znaczenie symboli użytych na rysunkach:

H – węzeł półwyblinka zwany też HMS

8 – przyrząd ósemka

S – przyrząd płytka Stichta

W – węzeł wyblinka

## Dziewiąty ośmiotysięcznik Carlosa Carsolio

Dobrze znany polskim himalaistom, uczestnik wielu polskich wypraw Meksykanin Carlos Carsolio ma na swoim koncie już 9 ośmiotysięczników. Ostatniego roku zdobył Cho Oyu, Lhotse i Broad Peak. Wszystkie te jego wejścia noszą znamiona wybitnie się wyróżniających i rekordowych.

Na Cho Oyu, gdzie działało 10 komercyjnych wypraw na drodze normalnej i który po Evereście stał się najpopularniejszym komercyjnym ośmiotysięcznikiem, Carsolio wszedł solo w rekordowo szybkim czasie 19 godzin. Bazę opuścił 25 kwietnia 1994 roku po południu wraz z Erhardem Loretanem, który po drodze zdecydował się zawrócić, a Carsolio o godzinie 10 rano stanął na wierzchoł-

ku. Do Kathamandu wrócił 30 kwietnia, skąd po tygodniowym odpoczynku ruszył pod Lhotse. 7 maja był już w bazie pod Everestem, a wierzchołek Lhotse zdobył drogą normalną 13 maja, w czasie krótszym niż 24 godziny. Wchodząc na Lhotse Carsolio stał się członkiem elitarnego klubu zdobywców 5 najwyższych szczytów świata. Oprócz niego należą do klubu: Messner, Kukuczka i Słoweniec Groselj.

Broad Peak zdobył Carsolio 9 lipca, po 40-godzinnej wspinaczce samotnie nową drogą. Można powiedzieć, że było to najwybitniejsze osiągnięcie tego sezonu w całym Karakorum. Nowa droga prowadzi południowo-zachodnim żebrem, na prawo od drogi normalnej, a jej trudności dochodzą do V, lód 65-70°C.

Jacek Fluder

# RÓŻNE SPOSOBY ZAŁOŻENIA AUTOASEKURACJI Z 2 PUNKTÓW

Fotografie W. Święcicki



Fot. 1. Połączenie szeregowe z liny.



Fot. 2. Połączenie niezależne z liny i taśmy.



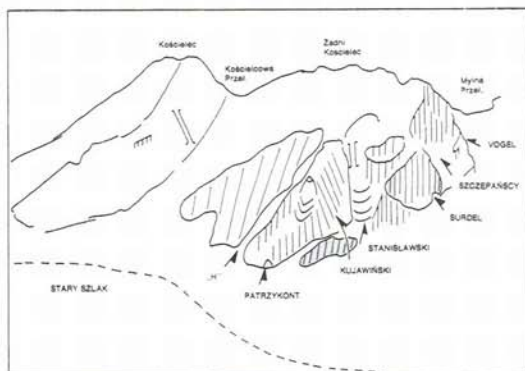
Fot. 3. Połączenie z użyciem liny dwużyłowej.



Fot. 4. Połączenie samonastawne.

# Zachodnia alternatywa

(monografia zachodniej ściany  
Zadniego Kościelca)



Stanisławskiego (WHP 94) zaczyna się około 100 m dalej w stronę Mylnej Przełęczy. O stanie jej ubezpieczenia wiem niewiele.

Między wymienionymi powyżej zrobiono ostatnio dwie nowe drogi, których schematy zamieszczam. Obydwie prowadzą raczej w dobrej skale i miłej ekspozycji. Orientacyjnie są proste. Myślę, że powinny po ewentualnej „kosmetyce” wejść do repertuaru dróg szkoleniowych.

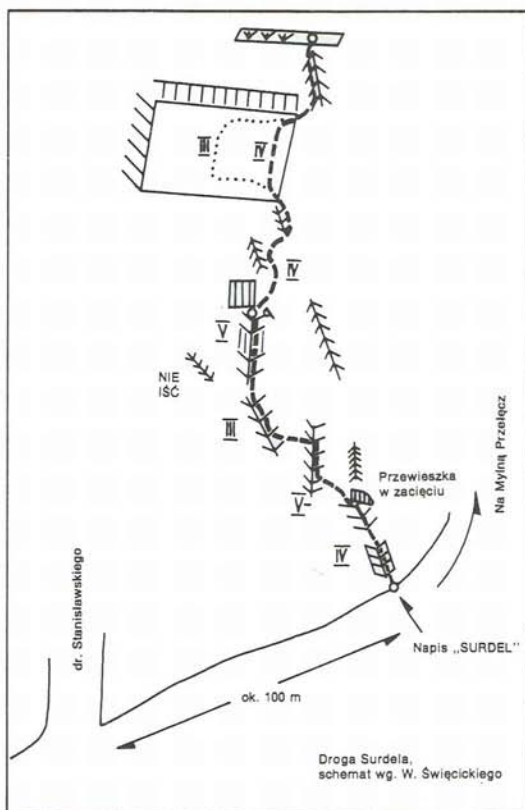
Około 100 m od drogi Stanisławskiego znajduje się droga Surdela. Dołączam jej schemat, który prawdopodobnie nie był nigdzie publikowany.

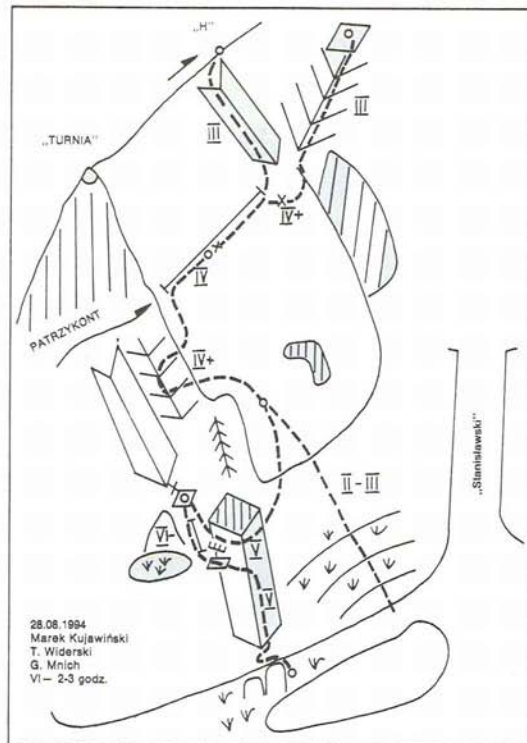
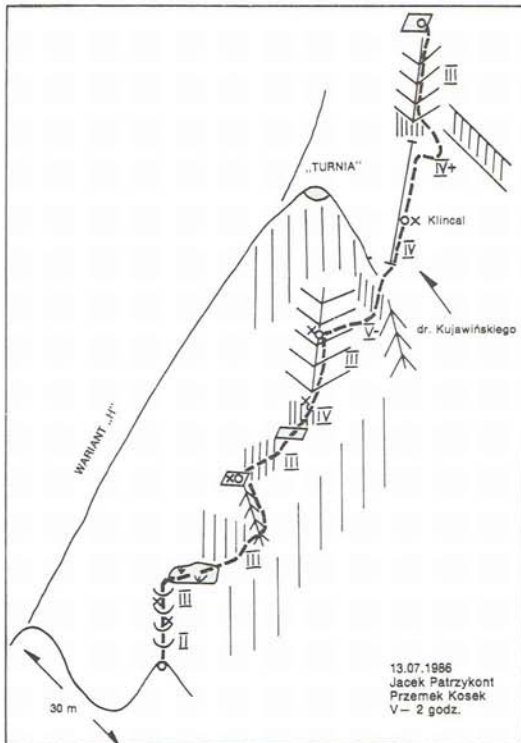
W przewodniku W.H. Paryskiego są opisane jeszcze dwie drogi: nr 92 (droga Vogla) i nr 93 (droga Szczepańskich). Są one mało znane. W przypadku pierwszej z nich przypuszczam, że zaszły tam istotne zmiany spowodowane obrywami.

Zachodnia ściana Zadniego Kościelca nie należy do najwybitniejszych ścian tatrzańskich. Patrząc z daleka (polecam podejście szlakiem prowadzącym na Świnicką Przełęcz i starym szlakiem w stronę Karbu), dzieli się ona na trzy części: dolną - z drogą Stanisławskiego, środkową - z drogą Surdela i ściany podszczytowe. Prowadzi na nią niewiele dróg wspinaczkowych. Ma ona bardziej znaczenie dla celów szkoleniowych lub jako cel pierwszych samodzielnych wspinaczek.

Wysokość ściany nie przekracza 150 m. Jest dość rozległa z uwagi na silnie wznoszącą się w kierunku Mylnej Przełęczy podstawę. Po ekspozowanej dolnej części przechodzi w łatwy pasterki teren, którym można podążać do wierzchołka albo kierować się w lewo, pod zachodnią ścianę Kościelca i przedłużyć wspinaczkę o dwa - trzy wyciągi. Jest to kontynuacja logiczna i godna polecenia. Nie obniżając się zbyt dochozimy do dróg: Sprężyny, Komina Świerza, drogi Stanisławskiego, drogi Gnojka. Wariantem ciekawym, trochę mozolniejszym, lecz o dużych walorach poznawczo-szkoleniowych, jest przejście przez Kościelcową Przełęcz, zachodem przecinającym wschodnią ścianę dotarcie pod drogę „114” i zrobienie jej górnej części w kopule szczytowej. W razie złej pogody można przejść dalej zachodami do ścieżki schodzącej z Kościelca na Karb.

Powracając do ściany właściwej, dla bywalców Hali Gąsienicowej najbardziej znanym pasażem jest „Wariant H” do drogi Stanisławskiego, nie wymagający opisu z uwagi na wyjątkowo łatwą orientację. Jest tam komplet punktów stanowiskowych z nitów i trochę stałych haków. Właściwa droga





## FIOLETOWE GÓRY

No więc... w góry. Pakujemy młotki, haki, kostki, żeby dzwoniło, ciążyło i gniotło w plecy. Brudne podkoszulki i swetry przepocoeone też. Żeby było siemiężnie. Ja - kask pod kłapę - niech wystaje. Niech widzą.

Do Zbójnickiej idzie się przez widoki ładne i ścieżką niestromą. W Zbójnickiej herbata nadzwyczaj dobra i lampy naftowe. Wieczorem stawy, a przy nich romantyczni turyści.

Znowu trzeba rano wstać! Marudzę. Idziemy na jakąś „veżę”. Nawet nie mogę sprawdzić na mapie w przedśionku gdzie to jest i, co ważne, jak daleko. Tu prawie wszystko nosi przydomek „veża”.

Zasypiam. Widoki nocne znam, więc nie patrzę tylko zasypiam i proszę, żeby nie było grani! Grani nie znoszę. Grań to chodzenie po ostrzu brzojwy wysoko nad ziemią. Tu dziura i tu dziura. I ja przerażona między dziurami...

Rano wszyscy gotują herbaty, kawy, kroją chleb. Hałasują. Dają do zrozumienia, że też idą. Że będzie ostro. Veża, na którą idziemy, jest po lewej. Duża i z granią, którą trzeba będzie zejść.

Mój kompan mówi: spoko! Na razie po kamieniach w górę. Plecak wrzyna się w ramiona. Myślę sobie, tam w domu pewnie już śniadanie; zaraz na plażę pójdą, w morzu pływać będą... A ja na kamieniach. Lepiej nie pytać się: po co? Wszyscy się pytają. I wszyscy wiedzą.

Każą iść. Obwieszam się dzwoniącym żelastwem. Głowę przystrajam kaskiem. Może by tak chociaż kosmyk włosów wyciągnąć. Żeby było kobieco?

Popędzają

No dobra. Iść w górę łatwo. Asekurować się - trudno. Hak. Nie siada. Kostka nie pasuje. Jak to się wsadza?

Jakoś się udaje. Żeby nie było, że się nie asekurowuję. Że nie umiem.

Ależ on sapie. Przychodzi. Klinie. Że nie tak, że te moje kostki, te V-ki można palcami wyjmować. Cholera!!

Widoki są, ale zasnuwają się mgłami i przymusowym odwracaniem oczu. A on idzie, klinie, wydziwia. Śpiewam sobie. Asekurować jest nudno, choć odpowiedzialnie. Rozglądam się. Wyżej mój partner walczy. Pewnie trudno. Czasem patrzę do góry. Widzę, że idzie. Staram się przeżywać, że ja stoję - on idzie, że potem będzie odwrotnie. Przeżywać, że takiej wielkie VEŻY się dotykamy, że palce, łokcie, kolana wciskamy w szpary, szczeliny. Że potem i krwią spływają kominy, przewieszki, rysy i zacięcia.

Szczyt jest miłą niespodzianką. Przeze mnie już od dłuższego czasu oczekiwana. Słońce świeci i widać Polskę. Gór hektary. Dobrze nie znać topografii! Nie pamiętać, co w której jest dolinie i jak się góry nazywają. Pijemy i jemy. Trzeba będzie zejść. Zejść granią.

- Asekurowujmy się, co?

- Co ty?! Dwojkowa grań.

Idziemy. Ja zawiązana i przerażona. Ależ on ciągnie! Ma psyche!

Nareszcie bezpiecznie w dół po piargach. Czasem dobrze, tak z grani na piargi. I dalej, potykając się, klinąc. Do herbaty, do książki i śpiwora. Patrę na „veżę”. Ona zwykła - niezwykła śpi już. Znowu gotowanie, krojenie, opowiadanie. Ale było! Idziemy spać.

Veża śpi, my śpimy nic o sobie nie wiedząc.

Anna Laniecka

# Polska działalność jaskiniowa w latach 1993-1994



Aleksander Chruściel

Podobnie jak w numerze 1/94 staramy się przedstawić w miarę kompleksowe sprawozdanie z polskiej działalności w jaskiniach podczas kolejnych dwóch lat. Nadrabiając w ten sposób kronikarskie zaległości, zyskujemy szansę relacjonowania następnego sezonu na bieżąco, jak przystało regularnie ukazującej się „gazecie”. Ze względu na szczupłość miejsca, jakie w rozsądny sposób można zagospodarować tego typu sprawozdawczością, zainteresowanych szczegółami pozwalamy sobie odsyłać w prezentowanym poniżej tekście do odpowiednich pozycji piśmiennictwa zawierających obszerniejsze informacje.

## Za granicą.

Tradycyjnie terenem najintensywniejszej (ilościowo i jakościowo) działalności polskich alpinistów jaskiniowych była Austria. Pozytywną cechą tej aktywności jest chlubna tradycja kontynuowania przez poszczególne kluby eksploracji w przynajmniej jednym z gospodarzy masywów czy rejonach.

W Leoganger Steinberge co roku działały wyprawy krakowskie (KKTJ) z udziałem uczestników z Warszawy i Częstochowy (w sierpniu 1993 - omówiona w Górach 7, 1993, s. 30-31, oraz w sierpniu 1994 - przedstawiona w T. 2/94, s. 25; obie pod kierownictwem Andrzeja Ciszewskiego). Latem prowadzono eksplorację w dwóch znanych już wcześniej jaskiniach PL 2 (-450 m w 1993 r.) i Vogelschacht (-762 m), położonych w Nebelsbergkarze w górnych partiach masywu. W wyniku dwuletnich „zmagień” przesunięto przodek eksploracji w Vogelschacht do miejsca odległego o ok. 50 m w pionie i ok. 80 m w poziomie od rejonu Fortuna Geschmack w Lamprechtsofen. Po połączeniu system uzyskałby deniwelację 1535 m.

Zimą, w lutym i marcu 1994 r., działała w Lamprechtsofen kolejna wyprawa centralna KTJ PZA kierowana przez A.Ciszewskiego (T. 1/94, s. 56). Pomimo wylania litrów potu przy wymianie oporęczowania i przenoszeniu biwaku bliżej Fortuny, rezultaty były stosunkowo mizerne, gdyż kolejne kaprysy pogody uniemożliwiły dalszą eksplorację od dolnego otworu. Była to, jak sądzimy, ostatnia wyprawa o takich założeniach. Olbrzymie dysproporcje w nakładach sił i czasu potrzebnych na dojście do przodka „od dołu” i „od góry” oraz konieczność przeporęczowania znacznych długości odcinków linowych w dolnych partiach, chyba definitywnie zamykają okres eksploracji systemu od otworu w dolinie Saalachu (a jednak trochę żal tego „podziemnego Everestu”!).

Podobną do opisanej powyżej, wieloletnią już eksplorację masywu Hoher Göll kontynuowali koledzy z Katowic (aczkolwiek znów należałoby raczej użyć nazwy: wyprawy katowicko-centralne pod kierownictwem Piotra Kaizika z KKS-u). Ich uczestnicy, po dwuosobowym kwietniowym rekonesansie, przesunęli w 1993 r. ciężar letniej eksploracji w rejon Kamerschartenkaru i przełęczy Hochscharte (Góry 7, 1993, s. 32). Odkryli 11 jaskiń, w tym 7 o głębokościach od 135 do 228 m. Sumując wyeksplorowane ciągi otrzymuje się niebagatelną długość - około 3 km i głębokość - 1600 m.

Tak olbrzymi wysiłek nie przyniósł jednak oczekiwanego przedarcia się przez strefę głębokości 200-250 m i dotarcia do mitycznych, od dawna oczekiwanych „gangów”. Również pierwsza połowa wyprawy w 1994 r. zdawała się potwierdzać najgorsze obawy. Dopiero w jaskini „Na Tarasie”, nazwanej później Kamerschartenhöhle, osiągnięto sukces: około 2600 m skartowanych nowych ciągów, schodzących do głębokości -360 m. Odkryto upragnione, wykoncypowane przez wybitnego „wizjonera eksploracji” (Zbyszka Rysieckiego) ciągi obszernych, horyzontalnych korytarzy, częściowo z efektywną szatą naciekową, zatrzymując się nad studnią prowadzącą prawdopodobnie do kolejnego poziomu. Szacunek budzi łączna długość 12 odkrytych w tym roku jaskiń: ponad 4 kilometry. Nowy rejon tak obiecującego masywu w połączeniu z bardzo konsekwentnym podejściem katowickim do eksploracji, zaowocuje zapewne w przyszłości kolejnymi spektakularnymi osiągnięciami.

Mniej szczęścia mieli koledzy z SG KW Wrocław, którzy po wielu latach polskiej nieobecności w masywie Hochkönig (poprzednio w 1978 r. wyprawa: katowicko-centralna) pragnęli rozpocząć w nim planową eksplorację. Po obiecujących wynikach rozpoznania rejonu w 1992 r. (T. 1/94, s. 51), wiodło się już coraz gorzej. W 1993 r. wyprawa pod kierownictwem Wiktora Bolka odkryła w jaskini SG1/1 354 m nowych korytarzy, dochodzących do głębokości - 303 m (Jaskinie 3, 1994). W 1994 r. planowano rozwiązanie problemów w jaskini i szerszą eksplorację powierzchniową. Jednakże odmienne niż w innych masywach stosunki własnościowe (właścicielem jest osoba prywatna, jak się okazało niechętna grotolazom) uniemożliwiły, zapewne na długo, wszelkie zamiary eksploracyjne w tym wysokim (2941 m n.p.m.), lecz niezbyt korzystnie zbudowanym masywie (T. 2/94, s. 45).

Pozytywnym zjawiskiem jest, po kilku latach sta-

gnacji, ożywienie działalności w rejonach kiedyś tradycyjnie „polskich”. W Austrii dotyczyło to masywu Tennengebirge, eksplorowanego w latach 70. i 80. przez grotolazów z kilku polskich klubów. W „polskiej” - gdyż odkrytej w 1985 r. i doeksplorowanej do -737 m w 1988 r. przez wyprawy FAKS - jaskini Ariadnahöhle, działała ekipa z AKG AGH Kraków (T. 2/94, s. 45). Próbie powrotu do „starych problemów” w Słowenii podjęli koleźcy z Bielska-Białej. Latem 1993 r. (pod kierownictwem Lubomira Zawieruchy) i 1994 r. (kierownik Jerzy Pukowski) prowadzili eksplorację, głównie powierzchniową w Alpach Julijskich, w rejonie Kriški Podi (szczegóły w numerze).

Zespół wrocławsko-kielecki kontynuował badanie niegdyś silnie eksplorowanego przez Polaków Masywu Zachodniego Picos de Europa w Hiszpanii. Szczegółowej relacji z 1993 r. brak, świetnym wynikiem ubiegłorocznej wyprawy Speleoklubu Wrocław poświęcony jest osobny artykuł w numerze. Kierował nią Marek St. Jędrzejczak. Do -718 m pogłębiona została jaskinia Pozu del Picu Los Asturias (oznaczona A-30; -552 m w 1991 r., por. T. 1/94 s.49), a nowy obiekt - Sistema del Canalon de Los Desvios - wyeksplorowany do -501 m. W obu jaskiniach istnieją szanse na dalsze odkrycia.

Poza wyprawami o charakterze eksploracyjnym, odnotować należy spore ożywienie w wyjazdach sportowo-poznawczych. Członkowie STJ KW Kraków wyjechali w marcu 1993 r. w pobliski, ale jakże egzotyczny rejon jaskiniowy Podola. Osiem osób pod kierownictwem Sławomira Zagórskiego działało w jaskiniach: Optymistycznej (najdłuższa jaskinia w gipsach, ponad 184 km korytarzy) i Dżuryńskiej (Góry 6, 1993, s.34). Latem 1994 r. członkowie tego samego klubu (8 osób, kierownik Michał Gradziński) działała w Gouffre Berger wspólnie z grotolazami francuskimi. Poszczególne uczestnicy dotarli do różnych głębokości, z czego 2 osoby osiągnęły -1122 m (T. 2/94, s. 44).

Inne rejony preferowali członkowie Speleoklubu Dąbrowa Górnicza. W 1993 roku 9 osób pod kierownictwem Macieja Włoska i Dariusza Piętaka zaatakowało położoną w Alpach Apuańskich Abisso Olivifer. W trzech wejściach syfon na -1210 m osiągnęli wszyscy uczestnicy. W sierpniu 1994 r. połączone siły Speleoklubów z Dąbrowy Górniczej i Sosnowca działały w pirenejskim masywie Pierre Saint-Martin (kierownik D.Piętak). Dokonano głębokich trawersowań i przejść w systemie jaskini PSM i w Gouffre Soudet (szczegóły w osobnej relacji w numerze).

Tradycyjnie również pokazali się warszawiacy specjalizujący się w nowej „polskiej dyscyplinie”, jaką jest wspinaczkowe wychodzenie z głębokich jaskiń. Wprawdzie pierwsza z zagranicznych wypraw tego rodzaju nie spełniła założeń „nowego stylu”, kończąc się „tylko” przejściami całej dostępnej bez nurkowania deniwelacji najgłębszej jaskini świata Jean Bernard - czyli -1466 m. Dokonało ich 9 z 10 uczestników ekipy reprezentującej Fundację Wspierania Sportu Wyczynowego i Speleoklub Warszawski (styczeń-luty 1993 r.), rezygnując z realizacji zasadniczego celu sportowego (T. 1/93, s. 36). Ale już w roku następnym, w zmienionym nieco składzie, lecz pod tym samym kierownictwem Tomasza K. Pryjmy, dokonano rekordowego wyjścia wspinaczkowego z naj-

głębszej jaskini Meksyku - Sistema Cheve. Czteroosobowy zespół (Marcin Francuz i T.K.Pryjma - obaj Speleoklub Warszawski oraz Tomasz Gajda - Speleoklub Bielsko-Biała i Oskar Orzechowski - Speleoklub Głogów) wspiął się z głębokości 1215 m. Podczas tej samej wyprawy prowadzono również eksplorację w masywie Sierra Juarez Oest, odkrywając 14 jaskiń o łącznej długości korytarzy 2230 m i głębokości 1224 m (najgłębsza -473,5 m), dokonano też innych, drobniejszych odkryć (T. 1/94, s. 57-58). Światowy rekord we wspinaczkę jaskiniowej przyniósł kolegom srebrne medale „Za wybitne osiągnięcia sportowe”. Ekipę firmował Speleoklub Warszawski (przy wsparciu PZA), a w składzie poza warszawiakami byli grotolazi z Bielska-Białej, Głogowa i Żagania.

## W kraju.

Eksploracja krajowa koncentrowała się przede wszystkim w dwu najgłębszych jaskiniach Tatr. W Wielkiej Śnieżnej w styczniu 1993 r. ekipa poznańska kopiała w zamulonym częściowo ciągu dającym nadzieję na obejście górą syfonów: Krakowskiego i Magdy (w miejscu wcześniejszych prób krakowsko-poznańskich). Po odkryciu ok. 10 m natrafiono na kolejny zamulony odcinek (Jaskinie 2, 1993, s.28). W tym samym roku wrocławianie (SG KW) kontynuowali uciążliwą eksplorację Galeirii Krokodyla, która rozwija się ku zachodowi, w kierunku Wielkiej Litworowej. Według pomiarów osiągnięto punkt odległy o około 35-40 m od Magły w tej ostatniej. Inny ciąg minął Wielką Litworową i kontynuuje się ku południowemu zachodowi (Jaskinie 2, 1993, s.18-19). Na początku lutego 1993 r. skartowano w tych ciągach ok. 700 m korytarzy, a długość całych tych partii wynosiła już ponad 1200 m. Ewentualne połączenie obu jaskiń dałoby system o deniwelacji 814 m. Na razie jednak - ciższa... Panowie, czekamy!

Skromniejsze, choć też cenne wyniki dała eksploracja innych klubów. O 200 m wzbogacili system członkowie AKG AGH Kraków w sierpniu 1993 r., eksplorując kolejne obejście w rejonie Ciągu Wodnego (Góry 7, 1993, s. 38). W lutym 1994 r. dwie ekipy nurków z Warszawy pokonały Syfon Marzeń, przez który przepływa woda spadająca Parszywą Siedemnastrą w kierunku suchego dna jaskini (T. 2/94, s. 45). Odkryto korytarz doprowadzający pod próg z wodospadem i ciasny boczny syfon, przedłużając jaskinię o 40 metrów (szkic odkrytych partii zamieszcza Wiercica 73, 1994, s.5). Obecna długość J. Wielkiej Śnieżnej oszacować można na ok. 11150 m. Rywalizuje ona o pierwszeństwo z systemem Wysokiej - Za Siedmiu Progami, którego szczegółowa dokumentacja wykazuje długość 11660 m. Definitywne rozstrzygnięcie przynieść może rozwiązanie problemu połączenia z Wielką Litworową.

Śnieżna Studnia była tradycyjnie obiektem działań zespołów zakopiańskich pod kierownictwem Grzegorza Albrzykowskiego i nurków wrocławskich. Zimą 1992/93 odkryto i skartowano ponad 500 m nowych ciągów głównie we wschodnich partiach jaskini (ciągi Nasza Woda do Syfonu Diamentowego i rejon Studni Czekoladowej do Ciągów Aferalnych), przez co długość pomierzonych korytarzy wzrosła do 5342 m, deniwelacja zaś - ustalona podczas nurkowania w 1992 r. - wynosiła

(po 3 m korekcie obliczeń) 743 m (Jaskinie 2, 1993, s.13 i 17). Dalsza eksploracja w 1993 r. skupiła się w górnych partiach jaskini, w rejonie Studni Wazelinarzy, którą „podwyższono” w rezultacie wspinania do 230 m. Odnotować też należy odkrycia dokonane podczas wspólnych biwaków grotołazów z Moraw i Zakopanego (ok. 160 m nowego terenu w rejonie poziomu -500 m). Zimą 1993/94 eksplorowano równoległą studnię łączącą się ze Studnią Wazelinarzy na poziomie -325 m oraz wspinano się powyżej zamykającego ją Proška Wszystkich Świętych, zdobywając w trudnej wspinaczce kominami z wiszącymi zawaliskami ponad 50 m „pionu” (Góry 10, 1994, s.41).

Odbyły się też nurkowania ekipy SG KW Wrocław kierowanej przez Wiktora Bołka. Podczas akcji w dniu 3 kwietnia 1994 r. osiągnął on w Syfonie Drzemiacym -22 m, pokonując pod wodą około 50 m (T. 1/94, s.54-55). Po tym osiągnięciu głębokość jaskini wzrosła do -715 m, a deniwelacja do 752 m. Kolejne nurkowanie w dniach 27-30 grudnia 1994 r. nie przyniosło pogłębienia syfonu, ale wydłużyło długość jego rozpoznanych partii do ok. 65 m (szczegóły w numerze). Przedstawione tu odkrycia zwiększyły długość systemu, jednak szczegółowe wyniki liczbowe nie zostały na razie podane.

Poza Tatrami warto odnotować sygnalizowane już w poprzednim numerze (s.45) odkrycie 50-metrowej jaskini w Górach Kaczawskich. Szkic Jaskini Śmiertelnej zamieszcza Wiercica 73. Systematyczne odkrycia przynosiła też stała działalność eksploracyjna w Karpatach Fliszowych, dzięki której znamy już tam 346 jaskiń o łącznej długości 6725 m (T. 2/94, s.44 i 45 oraz Góry 8, 1994, s.46-47).

Zdecydowanie najwięcej przejść tatrzańskich w omawianym okresie miało charakter szkoleniowy lub sportowy. Trudno dokonać ich ocen jakościowych. Bardziej przemawiają dane ilościowe, a te wyglądają optymistycznie, chociaż i taka analiza sprawia pewne kłopoty. Zimą, gdy większość ekip klubowych działa z własnych baz lub „z doskoku”, trudno dokonać pełnej rejestracji wyjść. Próby oceny intensywności działalności taternicko-jaskiniowej tylko w oparciu o liczbę wydanych zezwoleń mogą być obarczone zbyt dużym błędem. Łatwiej podsumować okres letni, gdyż większość akcji wychodzi z Polany Rogoźniczańskiej, bądź jest rejestrowana w książce wyjść obozowiska, a wpisy pozwalają na orientację w ich „ciężarze gatunkowym”. Latem 1994 r. dokonano około 80 poważniejszych przejść jaskiniowych, czyli o około 20% więcej niż w roku poprzednim (szczegóły w osobnej notatce). Był to już trzeci rok wzrostu aktywności. Trzeba tu oczywiście pamiętać o pewnej liczbie wejść omijających Polanę, ale można zakładać, że i w tej grupie proporcje układają się podobnie.

Z obserwacji ostatniego sezonu letniego należy zauważyć nowe zjawisko w postaci kursów

komeracyjnych, dość luźno związanych z klubami. Pomimo wielu ploteczek, dość wysoko należy ocenić poziom szkolenia i sposób podejścia kadry tych kursów do metod ich prowadzenia. Instruktorzy „komerccyjni” przestrzegali w miarę uczciwie zasady, że skoro klient płaci, powinien otrzymać rzetelne podstawy, a kadra nie może pozorować szkolenia. Znacznie korzystniej wypadają te kursy na tle niektórych obozów klubowych, gdzie często jeden instruktor przypadał na kilkunastu kursantów i z konieczności korzystał ze szkoleniowej pomocy nierzadko nawet ubiegłorocznych absolwentów. Prowadziło to do działań na granicy dopuszczalnego ryzyka. Uwzględniając stale pogarszające się ospitowanie naszych jaskiń (w lecie 1994 r. w różnych jaskiniach wypadły 3 spity), może to w przyszłości przysporzyć kolejnych klientów ratownikom TOPR. Gdy już jesteśmy przy Pogotowiu, odnotować należy dwie interwencje ratowników w zimie 1993/94 (T. 1/94, s.61) w Ptasiej Studni i Jaskini Miętusiej. Obie skończyły się bez większego uszczerbku dla poszkodowanych. Niestety, sezon letni 1994 r. rozpoczął się od śmiertelnego wypadku w Jaskini Wielkiej Śnieżnej (szczegółowe omówienie w poprzednim numerze Tatarnika).

\*\*\*

W uzupełnieniu artykułu podsumowującego lata 1991 i 1992 (T. 1/94, s. 49-53) należałoby wspomnieć o pominiętych w nim odkryciach:

1. W Jaskini Śnieżnej członkowie AKG AGH Kraków odkryli ponad 100 m nowych ciągów w rejonie Błotnych Łaźni (Jaskinie 2, 1993, s.20; Góry 6, 1993, s.39).
2. W Jaskini Miętusiej w grudniu 1992 r. odbyło się nurkowanie w syfonie (zalanej studni) na dnie Ciasnych Kominów Miętusiańskich. Irena Szymczak i Tomasz Witkowski z Warszawy osiągnęły w nim głębokość -18 m. W tej samej były też inne drobne odkrycie (Góry 6, 1993, s.39 i 37). Jaskinia uzyskała długość ok. 10 030 - 10 040 m.

W uzupełnieniu informacji o działalności zagranicznej należy odnotować kolejny powrót, tym razem ekipy żagańskiej w austriackie Tennengebirge. W okresie od 11 do 28 sierpnia 1992 r. splanowano tam kilka jaskiń odkrytych podczas poprzedniej wyprawy oraz dokonano zejścia na dno jaskini Hollenhöhle (-455 m) zawierającej najgłębszą studnię świata Hades (450 m), odkrytą w 1979 r. i wyeksplorowaną przez poprzednią generację grotołazów żagańskich. Podjęto też próby eksploracji, ale bez specjalnych sukcesów (Góry 6, 1993, s.37).

Kończąc prosimy o nadsyłanie aktualnych materiałów dotyczących działalności jaskiniowej, by tego typu uzupełnienia nie były konieczne.

# SPELEOCORRIDA '94

Kolejna, trzecia już wyprawa Speleoclubu Wrocław do Hiszpanii w Masyw Zachodni Picos de Europa (G.Kantabryjskie) zaplanowana była na okres sierpień-wrzesień ubiegłego roku. W wyprawie udział wzięli: Marcin Buchla, Magdalena Chlipała, Jakub Haba, Paweł Hajduk, Marek St. Jędrzejczak - kierownik, Marcin Pałyśński, Jacek Styś, Magdalena Świątek, Grzegorz Winkelbauer, Małgorzata Wojtaczka (wszyscy Speleoclub Wrocław), Sebastian Kalisz (SGKW Wrocław) oraz Albert Idzik i Wiesław Krupski (obaj Speleoklub Świętokrzyski).

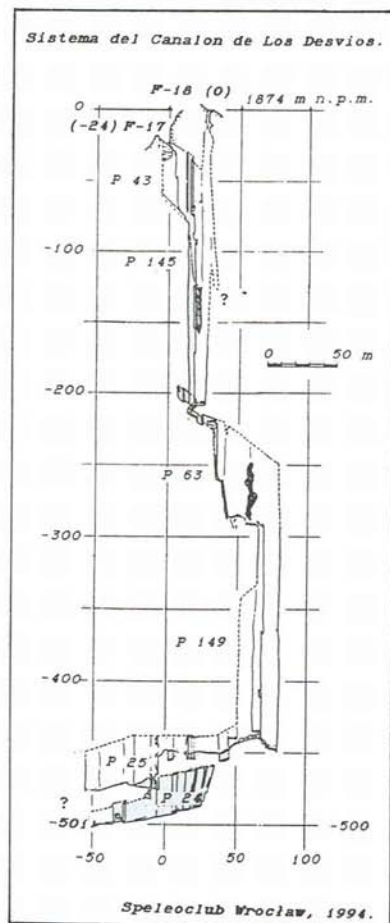
W fazie organizacyjnej bardzo pomogli nam przyjaciele ze sklepu alpinistycznego Cave Sport we Wrocławiu udzielając nam poważnego wsparcia materialnego. Firma SMARTEX przekazała nam nieodpłatnie pewną ilość żywności, natomiast PZU ubezpieczyło gratisowo całą wyprawę (wszystkich uczestników oraz oba samochody). Chcemy w tym miejscu serdecznie podziękować Zbyszskowi Kurpiosowi i Piotrowi Wańczykowi z firmy Cave Sport, panu Markowi Mincie - naczelnikowi Wydziału Organizacyjnego PZU we Wrocławiu, oraz pani prof. Ewie Krzywickiej-Blum z Katedry Geodezji i Kartografii Akademii Rolniczej we Wrocławiu, dzięki której mogliśmy pożyczyć sprzęt geodezyjny niezbędny do pomiarów terenowych. Bez ich pomocy i zrozumienia borykalibyśmy się z dużymi kłopotami jeszcze przed wyjazdem z kraju.

Przez cały czas pobytu w Picos mieliśmy bardzo dobrą pogodę, przeważały ostre upały, a dni deszczowych było zaledwie kilka. Stanowiło to miłą odmianę po wyprawie z zeszłego roku, kiedy to dwutygodniowa ulewa przyprawiła nas niemal o pomieszenie zmysłów.

Działalność jaskiniową rozpoczęliśmy kilkunastym biwakiem eksploracyjnym w kotle Jou Arenizas, gdzie oznaczono kilka nowych otworów. Niestety korki śnieżne i duże ilości rumoszu uniemożliwiły osiągnięcie w nich znaczących głębokości. Jedyne otwór oznaczony jako C-2 rokuje pewne nadzieje na przyszłość.

Wkrótce potem odbył się pierwszy biwak w jaskini Pozu del Picu Los Asturias (A-30), w której podstawowym problemem było obejście zawałiska w Sali Trzech Bolandów na głębokości -520 m. W ubiegłym roku wraz z Markiem Jędrzejczakiem próbowaliśmy to zrobić, lecz po ok. 60-metrowej wspinaczce w pionowym, niezmiernie kruchym zawałisku musieliśmy się wycofać, gdyż zabawa przestała być przyjemna, a tym bardziej bezpieczna. W biwaku brał udział: M. Jędrzejczak, J. Haba, A. Idzik i J. Styś.

Kluczowym miejscem w jaskini okazało się okno w studni P70, z którego 20-metrowy szeroki korytarz doprowadza do dużej sali z małym jeziorkiem zasilanym przez wodospadzik spadający gdzieś z góry sali. Woda z jeziorka wpada do wąskiego meandru, który dochodzi do stumetrowej studni.



Po zjechaniu okazało się jednak, że łączy się ona ze znanymi partiami jaskini poniżej sali Trzech Bolandów. Drugi z meandrów wychodzący z sali za oknem przeprowadził nas zgrabcie nad studnią P90 i po pokonaniu studni P60 doprowadził do następnej ogromnej Sali Dwoch Bolandów. Później okazało się, że obie Sale Bolandów łączą się ze sobą i to dokładnie nad miejscem, w którym rok temu zakończyliśmy wspinanie w zawałisku. Wtedy do wyjścia z sali zabrakło jedynie 8-10 metrów, ale decyzja o wycofaniu się była chyba słuszną.

Kolejny biwak w składzie: P. Hajduk, A. Idzik, M. Jędrzejczak i M. Pałyśński penetrował dokładnie Salę Dwoch Bolandów. Kolejna, krótka tym razem wspinaczka (P. Hajduk i M. Jędrzejczak) doprowadziła do meandru w ścianie sali. Schodząc kilka metrów meandrem i po zjechaniu kilkunastu metrów stanęli nad studnią P80 nazwaną później

Wrokiele. M. Pałysiński i A. Idzik zjechali Wrokiele. Następne studnie sprowadziły ich jeszcze niżej. Jaskinia ciągnęła się, ale liny szybko się skończyły. Na głębokości ok. -630 m nastąpił odwrót.

Równolegle z drugim biwakiem w A-30 prowadziliśmy eksplorację powierzchniową w Jou Arenizas. Sprawdzono kilka płytkich jaskiń i przy okazji w zespole: M. Buchla, M. Świątek i J. Styś zajrzeliśmy do A-43, gdzie trochę pogrzebaliśmy w końcowym meandrze. Warunki do kopania są tam bardzo trudne, ale wyczuwalny przewiew dobrze rokuje na przyszłość tej jaskini, tym bardziej że jest ona dosyć wysoko położona.

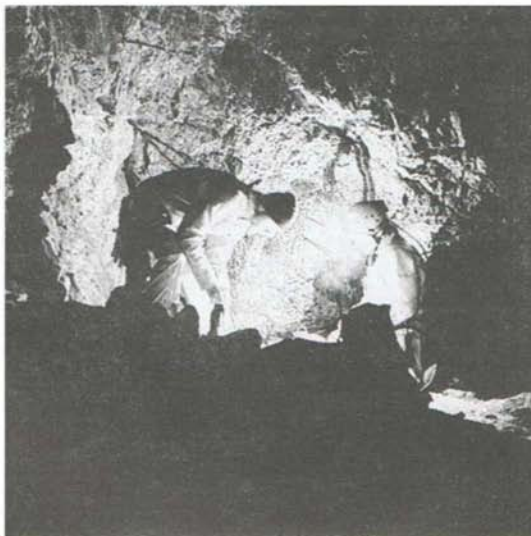
Natomiast S. Kalisz, G. Winkelbauer i M. Wojtaczka rozpoczęli eksplorację znalezionej kilka dni wcześniej podczas pomiarów geodezyjnych jaskini, oznaczonej później jako F-17. Już na trzeciej akcji osiągnęli oni głębokość -250 m zatrzymując się nad następną dużą studnią. Kolejne akcje (S. Kalisz i M. Wojtaczka) pogłębiły jaskinię do ok. -450 m. Z dna ostatniej studni P160 obszerny meander dochodzi do Sali z Dupą, w której charakterystyczny pomruk świadczy o bliskości dużej wody. Dociera się do niej po czterdziestometrowym zjeździe. Nie jest to na pewno główny kolektor tej części masywu, ale mamy nadzieję, że w przyszłym roku dalsza eksploracja przyniesie ciekawe wyniki. Jaskinię F-17 wyeksplorowano do głębokości 473 m, zaś po znalezieniu wyższego otworu F-18 głębokość jej wzrosła do -501 m. Całość zyskała nazwę Sistema del Canalon de Los Desvios. Najniższy osiągnięty punkt w jaskini



Przed wejściem do F 17. Od lewej: A. Ochmann, M. Wojtaczka, P. Hajduk, S. Kalisz, M. Świątek  
Fot. M. Chlipała

położony jest na poziomie zwierciadła wody końcowego Jeziorka, które prawdopodobnie nie jest syfonem. Zakładamy, że przy niskim stanie wody będzie można dotrzeć do większego kolektora wód podziemnych tej części strefy. Świadczyć o tym może położenie jaskini, jej pionowy charakter (głębokość -501 m przy rozciągłości poziomej 133 m) oraz stosunkowo duża ilość aktywnej wody (co szczególnie dało się nam we znaki przy reperowaniu). Możliwe jest także przyłączenie wyżej położonych jaskiń, ale raczej nie powiększy to w istotny sposób deniwelacji systemu.

Wkrótce po zakończeniu działalności w F-17, nazywanej przez nas piesszczotliwie „Berekiem”, gdyż jak stwierdzono „wieje, aż beret zrywa”, odbył się trzeci, ostatni już biwak w A-30.



Biwak w A-30. Jacek Styś i Albert Idzik  
Fot. A. Idzik

W składzie: P. Hajduk, A. Idzik, M. Jędrzejczak, W. Krupski, M. Pałysiński i J. Styś eksplorowaliśmy dalej osiągając głębokość -718 m. Niestety, jest trochę mokro i ciasno i choć jaskinia ewidentnie ciągnie się, dalsze posuwanie się głębiej wymagać będzie od nas dużego zaangażowania i przemyslenia, a w ostateczności skorzystania ze specjalnych technik eksploracji ciasnych miejsc. Jest także w jaskini kilka problemów, w które należy zajrzeć. Ale to już zmartwienie na wyprawę w przyszłym roku. Po skartowaniu całości mogliśmy już ze spokojnym sumieniem zaczynać retransport, podczas którego doszło do swobodnego wypadku. Podczas reperowania okna w studni P70, na jej dno spadł szpej biwakowy z dużym pojemnikiem karbidu, kilkoma butanami i śpiworem. Jakimś cudem butan nie wybuchł, jedynie pojemnik pękł na dwie części i cały karbid zlasował się zanim wyciągnięto go z kałuży. Natomiast worek produkcji Zbyszka Kurpiosa wytrzymał pięćdziesięciometrowy lot bez najmniejszego uszczerbku.

I to właściwie był już koniec wyprawy, zostało tylko wyniesienie reszty sprzętu z jaskini i powolne jak zwykle znoszenie gratów do bazy dolnej. Jeszcze tylko tradycyjna impreza kończąca wyprawę i do domu. I chyba jesteśmy zadowoleni z tegorocznych wyników: w sumie wyeksplorowaliśmy ponad 1300 metrów pionu, w dwóch jaskiniach zostawiliśmy otwarte problemy, no i mamy jeszcze w zanadru kilka obiecujących otworów. Szkoda tylko, że znowu odplynęła w przyszłość sprawa jaskini G-13 (eksplorowanej przez wyprawę SGKW Wrocław w 1989 r.).

Ale przez rok chyba się nie zawali.

# Spór o przyszłość Tatr

Ukazujące się od niedawna w naszej rodzimej prasie wspinaczkowej artykuły i deklaracje dotyczące rozwoju wspinaczki w Polsce, a szczególnie w Tatrach, jak również szybki rozwój i ekspansja spitów na tatrzańskich ścianach spowodowały nas do zajęcia stanowiska w tej skomplikowanej i z pewnością kontrowersyjnej sprawie.

Szybko daje się zauważyć, że kwestia spitowania jest w istocie problemem ściernia się dwóch zasadniczo odmiennych światopoglądów i niesie za sobą poważne reperkusje dla środowiska górskiego. Bez wielkiej przesady można stwierdzić, że wygląd Tatr i charakter wspinania zależą będą na wiele lat od wyniku trwającej obecnie dyskusji. Ponieważ – jak dotąd – głosy w tej dyskusji nie były równo podzielone, postanowiliśmy dać wyraz poglądom, któremu hołduje z pewnością równie silna – choć może mniej aktywna – grupa wspinaczy i górolazów.

O co więc w istocie chodzi?

Otóż naszym zdaniem spotykają się przy tej okazji dwa odmienne sposoby widzenia świata i miejsca w nim człowieka. Pierwszy pogląd to pogląd uzurpatorski, zakładający, że człowiek jest władcą przyrody i ma prawo wykorzystywać ją do własnych celów i przyjemności. Według niego człowiek może ingerować w świat natury, zmieniać go i podporządkowywać sobie. W odniesieniu do gór prowadzi to do zmieniania ich środowiska, budowania hoteli, kolei linowych, otwierania drogi w góry dla rzesz niedzielnych turystów poprzez budowę dróg i łatwy dojazd, wreszcie – do spitowania i podmiotowego traktowania wspinaczki, dążenia do eliminacji ryzyka i niewygód związanych z pobytem w górach bez oglądania się na świat przyrody.

Jest to pogląd dobrze nam znany, wyznawany od stuleci, pogląd który doprowadził do degradacji środowiska i nieodwracalnych zmian na całym globie.

Nie jest wszak odosobniony światopogląd zgoła odmienny, w myśl którego stosunek do środowiska można ująć następująco:

1. Człowiek odnosi się do przyrody z szacunkiem ponieważ uznaje, że jest jej elementem, a nie właścicielem.
2. Szacunek ten oznacza, że człowiek nie kształtuje przyrody na swoją modłę, lecz akceptuje ją w jej własnej formie.
3. Akceptacja ta oznacza w szczególności, że ingerencja człowieka w materię przyrody jest minimalna.

W relacji do gór te trzy zasady można sprecyzować w następujący sposób:

1. Góry są kwintesencją nienaruszonej natury.
2. Ponieważ góry nie służą człowiekowi, dlatego

nie ingeruje on trwale w ich środowisko<sup>1</sup>. Trwałą jest każda ingerencja naruszająca materię gór i posiadająca praktycznie nieodwracalny charakter. Stwarzanie sobie bezpieczeństwa, komfortu i rozrywki w górach jest zatem uzasadnione tylko o tyle, o ile nie powoduje takiej ingerencji.

3. Nie ma pojęcia „udostępniania gór”. Oznaczałoby to bowiem trwałą ingerencję w ich materię, a w konsekwencji degradację ich środowiska.
4. Człowiek przybywa w góry aby odnaleźć naturę w jej czystej postaci. Napotyka tam bowiem hierarchię ważności zagubioną w dzisiejszym świecie. Góry są jednym z ostatnich miejsc gdzie człowiek może stanąć twarzą w twarz z przyrodą świadom swjej ułomności i niebezpieczeństw z tym związanych. Przynosi mu to chwile wewnętrznego odnowienia niedostępne na co dzień.
5. Ponieważ człowiek jest elementem przyrody, zamykanie mu dostępu do gór bądź ograniczanie go w jakikolwiek sposób jest nie akceptowane. Każdy człowiek ma prawo czuć się w górach wolny w swym postępowaniu dopóty, dopóki nie posuwa się do trwałej ingerencji.

W sformuowanych poniżej „Zasadach wspinaczki w górach” znajduje się uściślenie tego, co wynika z takiego podejścia dla wspinacza. Przed ich przeczytaniem zastanówmy się jednak przez chwilę nad tym, do czego prowadzi spitowanie.

Wszyscy korzystamy ze spitów i nie raz wpinaliśmy się w srebrną plaketkę z niekłamany ucuciem ulgi. Nie raz kleiliśmy słabą asekurację i szalonych autorów drogi. Często wahaliśmy się przed pójściem na drogę z powodu niepewnej asekuracji i żałowaliśmy, że nie może być lepsza. Ale...

Co można porównać z tymi długimi chwilami budowania psychy przed drogą, z podjęciem decyzji, kupką nerwów i wreszcie pokonaniem jej trudności i własnych słabości? Ze świadomością dokonania czegoś szczególnego, przynależnością do elitarnego zespołu tych, którzy zrobili coś wyjątkowego? Z faktem przeżycia Przygody w jej najprawdźwiejszej postaci?

Pomyślmy – wszyscy przecież robiliśmy drogi spitowane. Zdarzają się i piękne, i trudne – to prawda. Ale czy są to te same wymiary? Czy po przejściu takiej drogi, na której niebezpieczeństwo i wymogi psychiczne zredukowane zostały do minimum, odczuwaliście to samo?

My nie.

Czuje się radość z pokonania trudności, pochnięcia poprzeczki o stopień wyżej, ale przecież nie tylko o to chodzi...

Powiedzmy sobie szczerze – każdy może zrobić

drogę wyposażoną w komplet spitów. To tylko kwestia czasu i treningu. To nie jest kwestia odwagi, psyche, wyczucia gór, szaleństwa. To nie jest już alpinizm.

Większość z nas wbiła już spity. Nie myśleliśmy wtedy o reperkusjach tego co robiliśmy. Lecz teraz musimy wszystko przemyśleć od nowa i – być może - przyznać, że nie postępowaliśmy słusznie. Nie będzie w tym nic złego. Jesteśmy bogatsi w doświadczenia i mądrzejsi, nie musimy więc popełniać tych samych błędów ponownie.

Dziś, kiedy nie mamy już ścianki z jedynekami, bo mamy ściankę ze spitem, kiedy płyta na Wariantach Małolata każdego pewnie poprowadzi rzędem połyskujących blaszek, kiedy mówi się o ubezpieczeniu niebezpiecznych dróg na Zerwie, kiedy wiercone są bezwzględnie i arogancko ostatnie dziewicze fragmenty skały powraca pytanie – ludzie, co wy chcecie zrobić? Po co? Dla kogo?

Trzeba podnieść poziom wspinania – powiada ją.

Czy tędy droga?

Czy nie wystarczą skałki, gdzie spitowaniu już nikt się nie sprzeciwia? Spójrzmy na Anglię – wychowała wielu wspaniałych alpinistów i skałkowiczów pomimo całkowitego zakazu spitowania w rejonach górskich. Tam każdy wbity spit jest usuwany pod nadzorem BMC, a wandalę piętnuje się publicznie.

Poza tym na poziom wspinania nie składają się tylko trudności techniczne. Coraz śmielej wspinaczka klasyczna wdziera się w góry najwyższe. Jak tam poradzą sobie wychowani na spitach mistrzowie przypadku?

I nie powołujemy się na przykład Francji. Coraz silniejszy jest tam bowiem sprzeciw wobec powszechnego spitowania i niewykłuczone, że już wkrótce odbije się on czkawką nie tylko wyznawcom Hilti.

A fakt rosnącego zainteresowania wielu mistrzów październica wspinaczką górską, również zimową, świadczy nie o niczym innym jak o ograniczoności formuły sportowej.

Trzeba udostępnić ludziom piękne drogi.

Udostępnić komu i co to właściwie znaczy „udostępnić”? Pewne drogi są za trudne i to jest fakt, z którym się trzeba pogodzić. Nie na wszystko nas stać i nie próbujemy tego zmieniać za wszelką cenę, bo skutki mogą być opłakane. Czyż żeglarze domagają się budowania sztucznych wysp pośrodku jeziora tylko dlatego, że można utonąć?

Mówi się o „poprawieniu” tylko stanowisk. Zrozummy – jeżeli usankcjonujemy spitowanie, to przestanie ono mieć granice. Po kimś, kto obawiał się niepewnych stanowisk przyjdzie ten, kto będzie obawiał się niepewnego wyciągu i swą akumulatorową wiertarką wywierci rządki dziur, bo przecież każdy może robić to, na co ma ochotę.

Sami zamknijemy sobie drogę do tego, po co przybywamy w góry. Nie odnajdziemy już tam przygody. Pozostanie nam prężenie buł i przyrost mięśni kosztem szarych komórek.

Bezpieczeństwo! Czy weźmiecie na swe

sumienie tych, którzy zginą z powodu słabej asekuracji?

Równie dobrze można zapytać czy weźmiemy tych, którzy zginą z powodu dobrej. Jakie morale będą mieć wspinacze niezdolni do pokonania trudności psychicznych? Kto podaży im na pomoc w chwili wypadku, gdy nie będzie do nich prowadził rządki metalowych oczek?

Bezpieczeństwo to kwestia uczciwości wobec siebie i podejmowania ryzyka, na które nas stać. Wszyscy wiemy czym ryzykujemy. Nie udawajmy więc, że jest to wina kogoś innego niż nas samych gdy coś się wydarza. Miejmy również odwagę, aby powiedzieć sobie – jest to dla mnie za trudne, są lepsi, odważniejsi ode mnie.

Są rzeczy nie do zrobienia bez spitów.

Panowie – nie do zrobienia teraz! Przypominamy, że zachodnia Dru też była klasyfikowana jako nie do zdobycia i to nie przez byle kogo. Okażmy szacunek i cierpliwość należną przyszłym czasom, bo nie wiemy co mogą one przynieść.

Co da nam otwarcie gór na masowe wspinanie? Zamianę Tatr w Kobyłany czy w Podlesice? Wzajemną obojętność i zamianę wspinania w jeszcze jeden masowy pęd? Odarcie gór z tego, co najbardziej w nich szanujemy?

Walter Bonatti – sam przeciwnik spitowania – powiedział, że na szczęście nie ma takiego spita, który obniżyłby trudności północnej Eigeru.

Niestety – każdy spit obniża trudności północnej Kazalnicy.

Wierzmy głęboko, że ci, którym dobro gór leży na sercu i którzy doświadczali w górach głębokich wrażeń, po przemyśleniu problemu dojdą do podobnych jak nasze wniosków.

Odezwiście się, piszcie. Przeciwstawimy się wspólnie niszczeniu tego, co w górach najcenniejsze – przygody, nieznanego. Jakimż nieznanym będzie jego ersartz między jednym spitem a drugim? Jakie wartości wtedy tam znajdziemy?

Proponujemy natychmiastowe zaprzestanie niekontrolowanego spitowania w Tatrach i usunięcie spitów z miejsc najbardziej kontrowersyjnych. Proponujemy, aby uczynić komisję sportową PZA ciałem kontrolnym upoważnionym do sankcjonowania bądź usuwania pojawiających się spitów zgodnie z zasadami wspinaczki w górach.

To co znajduje się poniżej to garść zasad o uczciwym traktowaniu gór i nas samych. Nie zahamują one rozwoju wspinania – przeciwnie – posłużą jego rozwojowi we wszystkich piaszczynach. To, czym będą góry, zależy tylko od nas.

Czekamy na odzew.

*Artur Paszczak (opracowanie i redakcja)  
Jerzy Brenneizen, Andrzej Dudkiewicz,  
Jacek Fluder, Janusz Gołąb, Krzysztof Jacques,  
Krzysztof Krośkiewicz, Jacek Luniak*

<sup>1</sup> Pojęcie „trwałej ingerencji” jest pokrewnie pojęciu „uczciwych środków”, które zdefiniowane zostało w dalszej części.

# MOJE TRZY GROSZE

Od jakiegoś czasu toczy się na łamach Tatarnika (i nie tylko) dyskusja pt. „Czy spitować?” Ma ona wiele płaszczyzn, wiele racji, wiele aspektów i wielu uczestników. I bardzo dobrze. Warto wymieniać poglądy i polemizować, warto zgadzać się (rzadko) lub nie zgadzać (zwykle) się z argumentami strony przeciwnej. Człowiek może dowiedzieć się tego i owego, zaangażować emocjonalnie, a i rozwinąć intelektualnie. Ja jednak, mimo że zdecydowałem się wtrącić swoje trzy grosze, nie chcę wypowiadać się po żadnej ze stron. Częściowo dlatego, że w dyskusji biorą udział Wielcy, przy których mój głos gdzieś by się zagubił, a częściowo - sam do końca nie mam zdania (co przeczytałem płomienny artykuł o tym, że nie wolno - jestem pewien, że nie wolno; jak przeczytałem, że wolno i należy - jestem pewien, że wolno i należy; a w ścianie też różnie bywa - ale tak dziwnie się składa, że częściej spita brakuje, niż ... - przepraszam, miałem nie wypowiadać). Nie wypowiadam się więc, natomiast obiektywnie stwierdzam, że w górach i skałach pewną przewagę mają ci spitujący - mogą spitować. Wprawdzie nie spitujący mogą nie spitować, ale nie mogą (przynajmniej na razie) prowadzić procesu despitacji. Koniec końców dróg ospitowanych przybywa, nie ospitowanych ubywa.

Tu mała refleksja. Spit w świadomości wspinaacza (zwłaszcza początkującego, ale chyba nie tylko) urasta do rangi mitu. Jest spit - a więc wpinka i mamy stuprocentowe bezpieczeństwo. Trudne miejsce - byle do spita! Zjazd - ze spita, a więc bez stresów. Wszyscy to znamy. Ale czy zastanawialiśmy się kiedykolwiek, kto osadzał tego spita, któremu wierzymy bez granic? W skałach, w Tatrach? Czy rzeczywiście jest on gwarantem bezpieczeństwa?

Wiele razy przeprowadzałem w skałkach testy jakości spitów, które wyglądały podejrzanie. I w kilku przypadkach (bodaj trzech czy czterech) spit nie przeszedł testu pomyślnie! Co więc z naszym mitem? Ktoś zaraz powie: „bo w skałkach spitujący różni tacy, ale i tak jest bezpiecznie, bo przecież wszystko widać z ziemi, zanim zaczniemy drogę, albo można wędkę. A w Tatrach spitują trzy, może cztery osoby (tyle jest egzemplarzy sprzętu zapewniającego odpowiedni moment obrotowy konieczny do kreacji otworu pod przyszły spit). Po co więc to całe mącenie?” Prawda, były w całych Tatrach trzy kostki, trzy zachodnie liny, trzy pary super butków, trzy friendly. Ile wiertarek będzie za dwa lata? Ile w roku 2000? Niezależnie od tego, jak toczyć się będzie spitowa dyskusja, spitów będzie przybywać. Przybywać będzie też spitujących. I rosnąć będzie, jak sądzę, wiara w niezawodność spita. W niezawodność techniki. A przecież jakość spita jako punktu asekuracyjnego zależy również

od człowieka. A raczej - przede wszystkim od człowieka!

Nadchodzi więc chyba czas, aby ustanowić reguły: Kto, gdzie i kiedy będzie mógł umieszczać w Tatrach (skały oczywiście żadnym normom i tak się nie poddadzą - tam należy liczyć na własny rozsądek) stałe (wiercone) punkty asekuracyjne. Mamy Kartę Tatarnika uprawniającą do wspinania i ewentualnie pozbawienia się życia w pięknych i niepowtarzalnych okolicznościach przyrody. Nie mamy natomiast żadnego patentu regulującego uprawnienia do spitowania. A tu w grę wchodzi życie wszystkich, którzy zachęteni „obiciem” drogi z wiarą we własne bezpieczeństwo w nią wejdą. Wejdą walcząc jedynie z trudnościami technicznymi drogi, mając w swoim mniemaniu zapewnioną asekurację. Wiedza o prawidłowym osadzaniu stałych, wierconych punktów asekuracyjnych jest równie wielka, co powszechnie nieznana. Jest więc to raczej niewiedza (lub jak ktoś woli dosadniej - ignorancja). Może warto byłoby otworzyć w Betlejemce jeszcze jeden kurs - zakończony drobiazgowym egzaminem i licencją na spitowanie dróg tatrzańskich. Wtedy każda ospitowana droga mogłaby mieć w swoim opisie informację o tym, czy spity osadzała osoba upoważniona (bo nie należy zakładać, że nieupoważnieni nie będą spitować). A gdzieś, głęboko w dokumentach Betlejemki, czy PZA zapisana byłaby informacja o numerze licencji osobnika, który ospitował daną drogę. To umacniałoby świadomość spitującego, że jego działanie wybiega znacznie poza zainteresowanie wyłącznie jego skromnej osoby. Wprowadzie i tak nie rozstrzygnie się wielkiego problemu moralnego czy można obwiniać kogoś o czyjaś śmierć czy kalectwo - to przecież właśnie poszkodowany zdecydował się na kroki, które przyniosły takie a nie inne skutki. Gdy wypadnie stały (czytaj stary) hak - nikt nie będzie się zastanawiał, kto wiele lat temu hak ten wbił. Ale gdy wypadnie spit - zwłaszcza stanowiskowy - takie myśli prędzej czy później pojawią się. Zróbmy więc wszystko, aby zdarzenia takowe nie stały się treścią moralizujących artykułów w Tatarniku po roku 2000. Aby udokumentowane kwalifikacje osoby spitującej nie budziły niczyich wątpliwości. W końcu uzyskanie licencji pilota pasażerskiego (jeśli wolno sięgnąć do przykładu z innej branży - też związanej z lataniem) jest o kilka rzędów wielkości trudniejsze niż pilota lotni czy szybowca. Może jest to zasadne?

## ŚPIWORÓWY PUCHOWE

JAKOŚĆ SPRAWDZONA NA RYNKU NIEMIECKIM!  
(EXPORT OD 5 LAT)

- ✓ tkanina PA 6.6 rip-stop 45g/m<sup>2</sup> - lżejsza od Pertexu
- ✓ atestowany puch
- ✓ zamki YKK f-y Yoshida - najlepsze w świecie do kurtek i spiworów

Expedition Equipment

## Zawody o Puchar Prezydenta Warszawy



Sebastian Zasadzki w superfinale

Fot. Rafał Kardaś

III Ogólnopolskie Zawody Wspinaczkowe o Puchar Prezydenta Warszawy odbyły się w dniach 25-26 marca 1995 r. Na ścianie w Szkole Głównej Służby Pożarniczej licznie zgromadzona publiczność (ponad 300 osób) miała rzadką w Stolicy okazję podziwiania pasjonujących zmagania krajowej czołówki. Wystartowało 13 zawodniczek i 42 zawodników. Wśród pań wyraźną przewagę zdobyły Iwona Gronkiewicz-Marcisz i Renata Piszczek. Odpadając z tego samego miejsca przy samym końcu drogi finałowej, zaciętą rywalizację doprowadziły do rozstrzygnięcia w superfinale, w którym triumfowała pierwsza z nich.

Również wśród panów finał nie wyłonił zwycięzcy. Sensacją tej części zawodów był pechowy start zdobywcy zeszłorocznego Pucharu Polski (a także Pucharu Prezydenta Warszawy) - Jacka Jurkowskiego. Niespodziewanie niskie odpadnięcie zaskoczyło publiczność, ale najbardziej chyba samego zainteresowanego. W trzymającym w napięciu superfinale zmierzli się Marcin Wróbel i Sebastian Zasadzki. Po ciekawej walce zwyciężył Marcin.

### Klasyfikacja końcowa

#### Panie:

1. Iwona Gronkiewicz-Marcisz (KS Korona)
2. Renata Piszczek (KS Korona)
3. Monika Niedbalska (KS Korona)
4. Oliwia Bechyně (KS Korona)
5. Aleksandra Tomkowicz (KS Korona)
6. Eliza Czerwińska (KW Trójmiasto)
7. Marzena Wypychowska (KW Łódź)
8. Ula Wróbel (KS Korona)

#### Panowie:

1. Marcin Wróbel (KS Korona)
2. Sebastian Zasadzki (KS Korona)
3. Marcin Bartocha (KW Częstochowa) i Jacek Trzemzałski (KS Korona)
5. Grzegorz Pleśniak (KS Korona)
6. Sebastian Kostkiewicz (KW Nowy Sącz)
7. Grzegorz Kimla (KW Częstochowa)
8. Jacek Jurkowski (KW Nowy Sącz).

Gratulacje należą się nie tylko zawodnikom, lecz także organizatorom tego udanego przedsięwzięcia (Sekcja Wspinaczkowa SGSP i KW Warszawa). Udało się stworzyć ciekawe i emocjonujące widowisko wraz z jego właściwą oprawą. Drogi układali Ryszard Tomasiak i Remigiusz Perczyński, a sędzią głównym zawodów był Ryszard Emilewicz. Dopisali także sponsorzy (Alpinus, Pepsi-Trade, Warta - która ubezpieczyła zawody, oraz warszawskie sklepy Paker, Sklep Podróżnika i W.I.P.). Stoiska sponsorów (zarówno sprzętowe jak i spożywcze) umilały publiczności przerwy w emocjonujących zmaganiach.

Rafał Kardaś

### Sukces na Mistrzostwach Świata

Renata Piszczek zajęła trzecie miejsce w konkurencji na czas w grupie pań, na Mistrzostwach Świata w Genewie, które odbyły się 5-7 maja tego roku. W grupie mężczyzn, w tej samej konkurencji piąte miejsce zajął Tomasz Oleksy.

**Zarządzeniem dyrekcji Stołowogórskiego Parku Narodowego, Mały Szczeliniec jest zamknięty dla ruchu wspinaczkowego.**

# Ściana wspinaczkowa w 2 SLO w Warszawie

Zupełną odwrotnością zamierającego w kraju budownictwa mieszkaniowego stał się żywiołowo przybierający na sile ruch budowlany w dziedzinie ścian wspinaczkowych. Naturalną rzeczą kolejną obejmuje on coraz szerzej i szkoły. Szkolne ściany czy ścianki istnieją w Tarnowie (III LO, Szkoła Podstawowa nr 13), w Błoniu k. Warszawy (Zespół Szkół Technicznych), Wrocławiu (Technikum Kolejowe), a pewnie i w innych miejscach...

W 1991 r. powstała też ścianka w 2 Społecznym Liceum Ogólnokształcącym w Warszawie przy ul. Nowowiejskiej 5a. Skromny zrazu obiekt o szerokości 3,5 m i wysokości 5 m, stopniowo wzbogacił się o przewieszkę, a na początku br. rozrósł się do na tyle przyzwyczajonych rozmiarów, by претендовать już do miana ściany. Ponad 85 m<sup>2</sup> sklejki zamocowanej na stalowej konstrukcji w narożniku sali gimnastycznej oferuje, mimo prostej struktury (geometryczne ukształtowanie, dokręcane chwytły), stosunkowo urozmaicone wspinanie. W środkowej części, gdzie zbiegają się ściany, jest przewieszające się w górze zacięcie, po lewej stronie w połowie wysokości wystaje okap o 1,5-metrowym wysięgu. Jego ograniczenie to kolejne krótkie zacięcie. Górna część ściany jest (poza krótkim fragmentem) przewieszona. Są też dwa nieduże, dostawiane panele o lekko leżących płytach, umożliwiające ćwiczenie równowagi (wspinanie bez chwytów). Duża liczba gniazd do dokręcania plakierek (o większej od zwykłych wytrzymałości) daje możliwość swobodnego wspinania z dolną asekuracją. Wysokość wynosi 6,5 m i chociaż nie jest to może ściana do rozgrywania profesjonalnych zawodów, mamy z pewnością bardzo dobry obiekt treningowy zlokalizowany korzystnie w centrum stolicy.



Oprócz prowadzonych przez niżej podpisanego zajęć pozalekcyjnych dla uczniów szkoły, ze ściany korzystają dwa inne licea, a także niektóre warszawskie kluby (UKA, PKG i funkcjonująca przy nim Fundacja im. M. Zaruskiego „Człowiek - Ruch - Przyroda”). Planowane jest zresztą jej szersze udostępnienie (choć — zgodnie z duchem naszych czasów — na zasadach komercyjnych). Obiekt budowała i rozbudowywała warszawska firma AVIBEX, dla której był on konstrukcją prototypową. Na zdjęciach starsza część ściany (pomalowana) wyraźnie odcina się od ostatniej dobudowy (jasna sklejka). W lewej części widać też dostawione panele.

Rafał Kardaś  
Fot. Piotr Kardaś



## WARSZAWSKI UNIWERSYTECKI KLUB ALPINISTYCZNY

*zaprasza na szkolenie wspinaczkowe w skałkach Jury*

☛ Turnusy 6-dniowe.

☛ Zapewniamy sprzęt wspinaczkowy, instruktorów PZA.

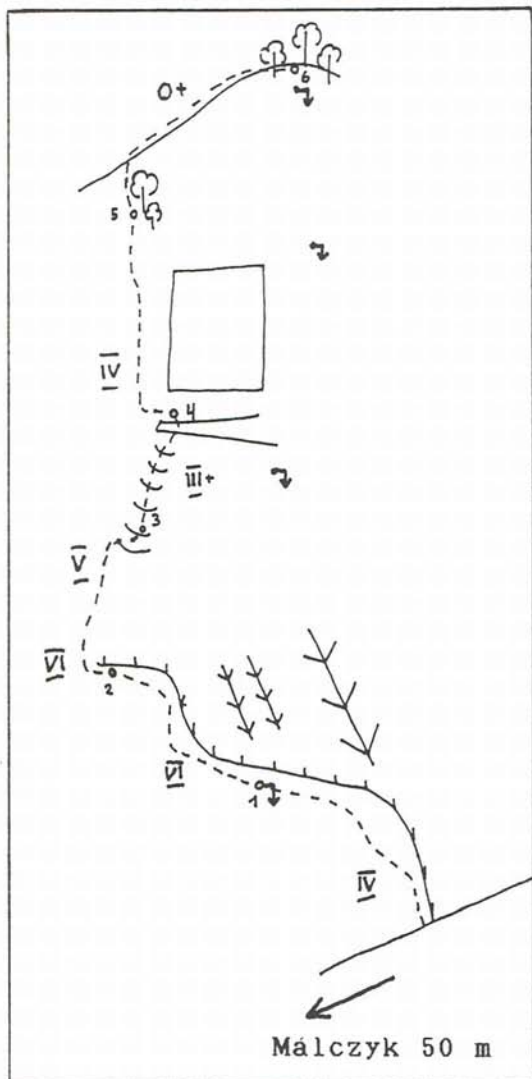
☛ Terminy od czerwca do października.

☛ Informacje — Jacek Patrzykont.

Warszawa (0-2) 659-82-60

# Co nowego w Tatrach

## Nowe drogi



„Camel Trophy” nowa droga środkiem wschodniej ściany.

Pierwsze przejście 16.09.1994 r.

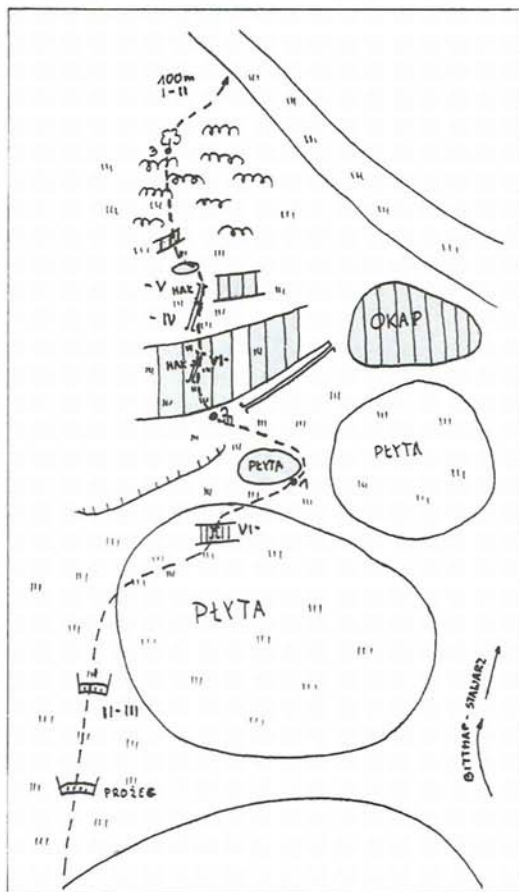
Jacek Olinkiewicz i Stefan Stefański

Trudności VI, czas I przejścia 6,5 h.

Długość drogi ok. 140 m.

Komplet haków + 1 spit stanowiskowy

Powrót - ospitowane stanowiska zjazdowe.



Mnichy Małoląckie

„Dziadek Mróz się wspina”

18.12.1994 r.

VI -, zima 3,5 godz.

Jacek Stawarz

Darek Stawarz

Kilka nowych wariantów powstało w sezonie letnim 1994 roku na Pośrednim Murze Raptawickim (szczegóły - biuletyn SWS „Wiercica” nr 74)

Ponadto w sezonie tym zespół zakopiański Szymon Kapieniak i Bogusław Szczerba przeszli klasycznie filar Kazałnicy Miętusiej obchodząc dolne okapy; trudności określili na VII. Proszą o nieodbijanie spitów na drodze.

# Wypadki taternicze i jaskiniowe w Tatrach Polskich w II połowie 1994 roku

1.07.1994 r. o godz. 1.10 powiadomiono Centralę TOPR o śmiertelnym wypadku w Jaskini Wielka Śnieżna. Przemysław Rogowski (lat 24) z Wrocławia podczas trawersu bez asekuracji progiem do Syfonu Marzeń odpadł i spadł na dno studni „Parszywa 17”. W wyniku około 15 metrów lotu poniósł śmierć na miejscu. Będący w pobliżu jego koleżdy K. Furgał i R. Mateja zjechali na dno studni próbując reanimować kolegę, ale obrażenia jakich doznał były przyczyną natychmiastowej śmierci. Akcja ratunkowa TOPR trwała od 1.07.94 r. od godz. 6.00 do dnia 4.07.1994 r. do godz. 15.00. Zwłoki P. Rogowskiego wyciągnięto na powierzchnię w dniu 3.07.1994 r. około godz. 21.00. W akcji ratunkowej wzięło udział 48 ratowników. Ratownicy spędzili w jaskini około 955 godzin. Do transportu ratowników i sprzętu, a później zwłok użyto śmigłowców Sokół i Mi-2. Transport zwłok od poziomu -570 m na powierzchnię kosztował ratowników wiele wysiłku i nastreczył sporo kłopotów technicznych. Zużyto sporo sprzętu. Transport ciężko rannego z tamtego rejonu musiałby trwać znacznie dłużej nastreczając o wiele więcej problemów. Nasuwa się propozycja, by przy bardziej trudnych eksploracjach jaskiń w swych planach uwzględnić problem ratownictwa, zwłaszcza z odległych i ciasnych rejonów jaskiń.

19.07.1994 r. około godz. 12.00 podczas wspinaczki na ścianie czołowej Filara Kopy Spadowej odpadł około 30 metrów (do podstawy ściany) Mariusz Wańczura (lat 19) – KW Jastrzębie. W wyniku upadku doznał urazu kończyn dolnych i ogólnych potłuczeń. Rannego, przy użyciu śmigłowca Sokół (wciągnięcie windą na pokład śmigłowca z miejsca wypadku) przetransportowano do szpitala. Ranny za godzinę od zawiadomienia o wypadku znalazł się w szpitalu. W wyprawie ratunkowej wzięło udział 8 ratowników i dwóch pilotów. Przyczyną wypadku były najprawdopodobniej błędy w asekuracji.

24.07.1994 r. za pośrednictwem Betlejki TOPR został powiadomiony o wypadku na Świnicy. Podczas wspinaczki „prawym Dorawskim” w kopule szczytowej północno-zachodniego wierzchołka Świnicy taternik Andrzej Janka (lat 26) z Gniezna odpadł doznając złamania nogi. Ratownicy z pokładu śmigłowca zjechali na miejsce wypadku. Następnie rannego w noszach francuskich wciągnięto windą do śmigłowca i przetransportowano do szpitala. Ranny taternik – po około 50 minutach od zawiadomienia o wypadku znalazł się w szpitalu. W wyprawie ratunkowej, wykorzystując śmigłowca wzięło udział 8 ratowników i 2 pilotów.

2.08.1994 r. podczas treningu hakówki na ścianie na prawo od drogi Staszla na Zadnim Gra-

nacie odpadł Tomasz Duś (lat 23) z Czeladzi, doznając urazu głowy. Rannego, śmigłowcem Sokół przetransportowano do szpitala. Znalazł się tam w niecałą godzinę od zawiadomienia o wypadku. Przyczyną wypadku był „błąd w sztuce”.

25.08.1994 r. nie powrócili ze wspinaczki na drodze Kurczaba na Mięgoszowieckim Szczycie Wielkim dwa zespoły.

- I a) Zbigniew Pacholski, ur. w 1942 r.
- b) Marcin Górski, ur. w 1975 r.
- II a) Maciej Przebitkowski, ur. w 1964 r.
- b) Przemysław Szczepański, ur. w 1970 r.

Wieczorem nastąpiło silne załamanie pogody. Z Morskiego Oka wyszły patroli ratowników i taterników. Około godz. 2.30 M. Pawlikowski nawiązał kontakt głosowy z I zespołem. Okazało się, że błąduje on na wierzchołku. O godz. 3.15 M. Pawlikowski dociera na wierzchołek i dowiaduje się, że II zespół po skończeniu drogi (późno) zaczął schodzić w kierunku Hińczowej Przełęczy. I zespół zostaje sprowadzony do Morskiego Oka. Rozpoczęto poszukiwania II zespołu. Zawiadomiono Horską Służbę o zaginięciu taterników. O godz. 6.30 HS poinformowała, że poszukiwana dwójka dotarła do schroniska pod Wagą. W poszukiwaniach wzięło udział 8 ratowników TOPR i HS.

30.09.1994 r. poszukiwano dwóch taterników z Zakopanego – Jana Gila i P. Sokalskiego, którzy nie powrócili ze wspinaczki na wschodniej ścianie Mięgosza. W nocy nawiązano z poszukiwanymi kontakt głosowy. Okazało się, że byli na grani pomiędzy wierzchołkiem a Hińczową Przełęczą. Nie mieli światła. Postanowili zaczekać do świtu. Rano, cali i lekko zziębnięci dotarli do schroniska. W nocnych poszukiwaniach wzięło udział 7 ratowników.

7.11.1994 r. około godz. 17.00 zawiadomiono TOPR, że minął czas alarmowy i z Jaskini Marmurowej nie powrócili dwie dziewczyny – Krystyna Jankowska – lat 34 i Anna Gajewska – lat 22. Wobec powyższego do jaskini wyruszyła grupa rekonesansowa złożona z 5 ratowników. O godz. 20.30 poinformowano z jaskini, że pod III studnią napotkano poszukiwane dziewczyny. Okazało się, że „brakło im światła”. O godz. 23.00 wprowadzono pechowe taterniczki na powierzchnię.

Adam Marasek

26 maja 1995 roku  
w krakowskim szpitalu zmarł

**PIOTR MALINOWSKI**

ratownik górski, uczestnik wielu  
wypraw, były naczelnik TOPR, były  
szef szkolenia COS PZA

## Leszek Michalski



Leszek Michalski urodził się 2 lutego 1920 r. w Bydgoszczy. W latach przedwojennych działał już w harcerstwie. Z chwilą wybuchu wojny zgłasza się ochotniczo do obrony przeciwlotniczej. Po zajęciu Bydgoszczy przez Niemców organizuje grupę wywiadu i informacji Szarych Szeregów. Zostaje aresztowany i wywieziony do Niemiec, skąd udaje Mu się wrócić do Bydgoszczy w 1943 roku. Jego wyjątkowo czynna natura nie pozwoliła Mu jednak - mimo ciężkich przeżyć - siedzieć bezczynnie. Działa jako żołnierz AK w oddziale łączności konspiracyjnej Komendy Garnizonu AK w Bydgoszczy.

Po zakończeniu wojny z pełnym zapałem zabiera się do nauki i działalności górskiej. To nowa Jego pasja po trudach konspiracji. W roku 1945 rozpoczyna studia biologiczne na Uniwersytecie M. Kopernika w Toruniu. Prawie równocześnie zaczyna z wielką energią i poświęceniem działać jako turysta górski.

W Toruniu nie było w tym czasie organizacji górskich, panowały jednak sprzyjające warunki dla tego rodzaju działalności. Powstał ośrodek akademicki, który dostarczał wielu adeptów turystyki górskiej i alpinizmu. Równocześnie ze Lwowa i z Wilna zjechało do Torunia wielu profesorów - dawnych działaczy PTT i KW. Prof. T. Czeżowski przywiózł również archiwum Oddz. Wileńskiego PTT oraz obszerną bibliotekę. Tę wyjątkowo sprzyjającą sytuację wykorzystał Leszek Michalski dla organizacji ruchu górskiego w Toruniu.

Z ogromnym zaangażowaniem i oddaniem zaczyna organizację PTT i KW w naszym mieście. Są to czasy pionierskie, które chyba Leszkowi najbardziej odpowiadały. Jest już asystentem na Wydziale Biologii. Mieszka w swojej pracowni, śpiąc w śpiworze na biurku. Tylko w niedziele jeździ do swego domu w Bydgoszczy. Jego działalność jest przemyślana i długofalowa. Skupia w swoich rękach wszystkie sprawy dotyczące Towarzystwa i Klubu.

Oddział PTT w Toruniu powstał 18 marca 1948 r. pod przewodnictwem prof. Jana Walasa. Koło Klubu Wysokogórskiego w Toruniu powstało natomiast w roku 1950. Prezesem został prof. Edward Passendorfer. Leszek oczywiście był sekretarzem obu organizacji, a po odejściu obu profesorów prezesem. Jego pracownia na UMK była nie tylko domem i sekretariatem, ale również magazynem sprzętu, wytwórnią haków i młotków, wreszcie sąlą zebrań.

W tym czasie pasją Leszka była również fotografia górską. W roku 1950 na I Ogólnopolskiej Wystawie Fotografii Górskiej zdobył II nagrodę. Wystawę zorganizował Toruński Oddział PTT, który liczył w tym czasie 108 członków. To dużo, jak na niewielkie miasto bez tradycji górskich. Jest to niewątpliwa zasługa Leszka.

Trudniejsza była organizacja Klubu Wysokogórskiego. Grono założycieli musiało mieć odpowiednie kwalifikacje. Werbuje więc Leszek chętnych i prowadzi ich w góry dla przebycia odpowiedniej liczby dróg (5 dróg co najmniej trudnych) upoważniających do bycia członkiem uczestnikiem. Bardzo wielu taterników starszego pokolenia zawdzięcza Mu wprowadzenie do Klubu. Były to jeszcze czasy kiedy zorganizowane szkolenie nie było w większej skali realizowane.

To wielkie zaangażowanie w działalność organizacyjną często utrudniało Mu działalność własną, ale to właśnie dzięki Niemu mozolnie budowano kadry taterników Torunia. Bardzo umiejętnie rozwijał współpracę z kolegami z Poznania (R.W. Schramm) i Bydgoszczy (J. Szczęsny, J. Kuczyński). Ta współpraca pozwoliła zachować ciągłość organizacji, szczególnie w trudnym okresie lat pięćdziesiątych.

Leszek Michalski zaczął uprawiać taternictwo w 1948 r. W tym samym roku został również członkiem zwyczajnym PTT. Członkiem uczestnikiem Klubu Wysokogórskiego został w r. 1949, uzyskał w tym roku również uprawnienia kierownika wycieczek po Tatrach stopnia A. Wydawała je Komisja Szkolenia Górskiego KW PTT prowadzona przez Zofię i Witolda H. Paryskich. Instruktorem taternictwa był od roku 1951, a członkiem zwyczajnym od roku 1953. Wspiął się m.in. z J. Staszlem, St. Chałubińskim, Zb. Hegerle, E. Strzebońskim, R. Drojecką, J. Sawickim i wielu innymi. Od 1980 r. był członkiem honorowym Klubu Wysokogórskiego w Toruniu.

Odszedł od nas dobry kolega i wspinały przyjaciel, któremu środowisko taterników i turystów górskich zawdzięcza bardzo wiele.

W ostatnich latach, z typowym dla siebie zapałem i poświęceniem, oddał się pracy w Światowym Związku Żołnierzy AK, w którym pełnił funkcję prezesa Zarządu Wojewódzkiego. Niestety, sił Mu już nie starczyło. Pokonał Go nagły zawał serca w dniu 13 marca 1995 r.

*Jerzy Tomaszewski*

# Xaver Bongard



15.04.1994 r. dobrze znany szwajcarski alpinista i przewodnik Xaver Bongard zabrał swój spadochron na szczyt Staubbach – 300-metrowego urwiska blisko rodzinnego Interlaken.

Bongard, aktywny wyznawca BASE JUMPINGU, z wieloma pierwszymi skokami na swoim koncie, między innymi ze Staubbach, tym razem zamierzał powtórzyć skok w towarzystwie.

Skoczył jak poprzednio, tym razem jednak nie otworzył się jego główny, jak i zapasowy spadochron.

Bongard był wszechstronnie utalentowany, w swoim 30-letnim życiu osiągnął wiele. We wspinaczce sportowej pokonywał trudności do 8a+, w lodzie kaskady o szóstym stopniu trudności. W Alpach pokonał solo: Couloir Ginat na Droites

zimą, a także drogę Piola/Ghilini VII, A4 na Eigerze latem.

Jednak na wyżyny sławy wniosły go jego wspinaczki big wall: The Nose i Salathe Wall w ciągu jednego dnia, a także imponujące solówki na najtrudniejszych A4 i A5 El Capitana: Iron Hawk, Lost in America, Sea of Dreams i Jolly Roger. Dwie ostatnie są uważane za najtrudniejsze na ścianie i z dróg tej klasy pozostają także najtrudniejszymi jakie kiedykolwiek zostały pokonane solo.

Jednakże na zawsze Bongard zapisze się w ludzkiej pamięci swoją drogą Grand Voyage na Great Trango Tower, którą pokonał w ciągu 18 dni wraz z Jonem Middendorffem w 1992 – drogę zaliczaną do najtrudniejszych technicznie wspinaczek w górach wysokich.

J.F.

## Książki warte przeczytania

„Księga wypraw ratunkowych” – Wydawnictwo Abaton, 200 stron, fotografie czarno-białe, faksymile dokumentów, format 14 × 20.

– Książka jest debiutem wydawnictwa Wojciecha Jedlińskiego. Zawiera oryginalne zapisy naczelników TOPR: Mariusza Zaruskiego i Józefa Oppenheima w księdze wypraw ratunkowych w latach 1909-1937. Czytelnik znajdzie opisy wypraw po Bronikowskiego, Szczukę, Leporowskiego, Stanisławskiego i Korosadowicza, Świerza, siostry Skotnicówny, Birkenmajera oraz wiele innych. – Książka jest poświęcona pamięci tragicznie zmarłych ratowników TOPR: Stanisława Matei i Janusza Kubicy oraz pamięci pilotów: Bogusława Arendarczyka i Janusza Rybickiego. W przygotowaniu znajduje się następny tom zapisków z księgi wypraw ratunkowych GOPR.

Kathleen Meyer „Ekologiczna defekacja czyli jak się załatwiać żeby nie załatwić lasu” – Wydawnictwo Stapis, przekład Dorota Henzel, 120 stron,

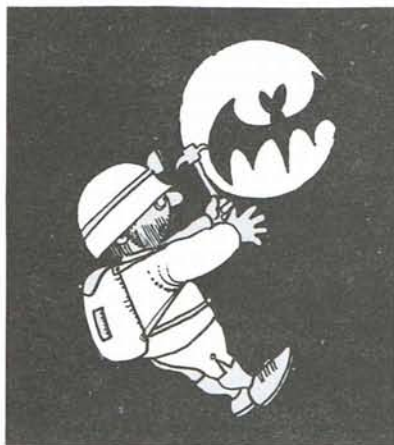
słowniczek i ilustracje, papier ekologiczny, format 13 × 20.

– Ze wstępu: „...znajomość unikalnego dzieła pani Meyer jest niezbędna każdemu, kto choć raz w życiu będzie zmuszony użyć sobie z dala od chłodnej, kafelkowej atmosfery domowych toalet czy swojskiego fetoru drewnianej wiejskiej wygódki. (–) Niektóre spośród opisanych sytuacji, a także proponowane rozwiązania nierzadko szokują, nie wszystkie też przystają do naszej rzeczywistości. (–) Jednak poczucie humoru autorki posiada walory ponadnarodowe i potrafi ona rozbawić nawet największych ponuraków”.

Artur Hajzer „Atak rozpaczy”, Wydawnictwo EXPO, seria „Moje góry”, str. 136, ilustracje oraz liczne fotografie barwne.

– Pierwsza książka Artura Hajzera i od razu całkiem niezła. Autor opisuje wspinaczki na himalajskie olbrzymy w towarzystwie tuzów polskiego alpinizmu. Czyta się z dużą przyjemnością, a do prawdziwych pereł humoru można zaliczyć opis zmagania z kolegą „Szlachetnym”. Uwaga: Nowością, przynajmniej na tle ostatnio wydawanych książek górskich jest przyjazny stosunek autora do partnerów i kolegów oraz stosowny dystans do samego siebie!

W.Ś.



Rys. Jakub Wiejackski

# Jaskinie i speleologia

## Akcja nurkowa w Syfonie Drzemiącym

Między Świętami Bożego Narodzenia a sylwestrem roku 1994 kontynuowaliśmy eksplorację w Syfonie Drzemiącym w Śnieżnej Studni. W jaskini znajdowały się butle zanieśione jeszcze w marcu oraz inne depozyty, zostawiane później przy różnych okazjach. Wymieniliśmy część stałego oporęczowania na liny otrzymane ze sklepu Cave-Sport. Nurkowanie przesuwaliśmy wielokrotnie z różnych powodów. W lipcu zrezygnowaliśmy ze względu na tragiczną śmierć Przemka Rogowskiego w Wielkiej Śnieżnej, we wrześniu i listopadzie nie udało się skompletować odpowiedniego zespołu.

Do jaskini wyruszyliśmy\* o poranku, we wtorek 27 grudnia i po kilku godzinach ubijania śniegu dotarliśmy do otworu. Biwak został założony jak zwykle na głębokości -500 m. Nurkowanie rozpoczęło się w środę po południu, po zniesieniu całego sprzętu nad syfon.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami nurkował Michał Stajszczyk, a ja go asekurowałem. Po upraniu się z błotem i sprzętem Michał zanurzył się w jeziorcu. Na początku popełnił ten sam błąd, co ja poprzednim razem.\*\* Wszedł w wąski korytarzyk stromo opadający w dół. Wejście do właściwego syfonu było nieco dalej... Michał odpoczął, wziął się w garść i ponownie zanurkował po drugiej stronie jeziorca. Tym razem powrócił po upływie 13 minut od zanurzenia. Usłyszałem ciągłe, świszczące bąblowanie powietrza - tak różne od regularnych bąbli wydechowych. Mogło to być spowodowane tylko awarią aparatu! I rzeczywiście spod automatu rezerwowej 4-litrowej butli wydostał się strumień bąbelków. Gdy nurek już nieco ochłoniął z przeżytego stresu, udało się ustalić spójną wersję wydarzeń.

Na samym początku, w kompletnie zmaconej wodzie, zdołał wpłynąć do właściwego syfonu. Gdzieś na głębokości 7 m dopłynął do czoła zmaconej wody i w świetle silnej 15-watowej latarki, wypożyczzonej dzięki uprzejmości sklepu Ocean Sub, ujrzał przestronny korytarz. Po lewej stronie wystawała z dna spora ostroga skalna. Za nią główny ciąg syfonu opadał stromo w dół. Wpłynął tam, pamiętając by w drodze powrotnej nie dostać się między tę ostrogę a ścianę. Poniżej progu korytarz był nadal obszerny (4 x 5 m) i prowadził poziomo na głęboko-

ści ok. 21 metrów. W pewnym momencie Michał usłyszał nad uchem bąblowanie dochodzące z zamocowanych na plecach butli. Stwierdził, że dzieje się coś niedobrego i postanowił zawrócić. W świetle latarki zobaczył jeszcze, że korytarz wznosi się dalej nieco do góry na przestrzeni około 10 m. Dalszy widok przesłaniał strop. Zawąził na poręczówce kluczkę i przełożył przez nią pętelkę z ciężarkiem, po czym zostawił cały kołowrotek na końcu wyeksplorowanego odcinka. Początkowo wracał w klarownej wodzie. Pierwszy marker, do którego dopłynął, oznaczał 80 m. W pewnym momencie zauważył odchodzącą w lewo boczną odnogę - jest to zapewne kontynuacja dolnego poziomu syfonu. Po dalszych kilkunastu metrach widoczność zmalała poniżej 50 cm. Dalej, choć w wielkim stresie, dopłynął bez większych przeszkód do jeziorca. W osmiolitrowej butli zostało mu tylko 60 atmosfer.

Pomimo olbrzymiego wysiłku włożonego w całą akcję, jaskinia nie została pogłębiona, w syfonie posunięto się o kolejnych 15 m. W części poznanej liczy on sobie teraz około 65 m, przy maksymalnej głębokości 22 m. Wydaje się, że osiągnęliśmy już jego przegięcie, gdyż dalej korytarz zaczyna się powoli wznosić. Komputer Michała (Aladin Pro) zarejestrował podczas nurkowania następujące dane: 21,4 m głębokości i czas 13 minut. Mniejsza niż w poprzednim nurkowaniu głębokość spowodowana była niższym poziomem wody w syfonie oraz zapewne tym, że Michał miał dodatnią pływalność. Do nurkowania użył kamizelki typu „chomąto” i przez cały czas unosił się pod stropem korytarza, uderzając co chwila butlami o sufit. Dzięki temu w dalszej części syfonu miał w miarę klarowną wodę, ale z drugiej strony to właśnie mogło być przyczyną awarii, gdyż zastosowane zamocowanie typu INT jest znacznie bardziej wrażliwe na uderzenia niż typu DIN (gwint).

W syfonie pozostała zamocowana poręczówka. Jest ona koloru białego (odnogę będziemy się starali poręczować linką w innym kolorze). Ma oznaczone długości co 10 m (markery) - na żółtej taśmie izolacyjnej czarnym, wodoodpornym pisakiem. Paski taśmy są przyszyte do linki, tak że nie powinny się przesuwać. Przed każdym żółtym markerem jest umieszczony mniejszy - czarny (od strony jeziorca - wyjścia z syfonu).

Wiktor Bolek

\*) W akcji nurkowej zorganizowanej przez Sekcję Grotolazów KW Wrocław brali udział: W. Bolek, M. Stajszczyk, M. Przybyszewski, a jako wspierająca grupa transportowa A. Maciuk, M. Buchla (Speleoclub Wrocław), G. Kaczor (Głogów). W transporcie i retransporcie pomagało dalsze 10 osób z Wrocławia, Głogowa, Sopotu i Żagania.

\*\*) Poprzednie nurkowanie opisane jest w T. 1/94 na 54-55.

## Wypadek w Falkensteiner Höhle

Schwäbische Alb, 25 lutego 1995 r., godzina 23.05, telefoniczna sekretarka Höhlenrettung Baden-Württemberg nagrywa informację: „z Falkensteiner Höhle nie powróciło do teraz dwóch mężczyzn, o godz. 20.00 przyjąłem zgłoszenie od syna jednego z zaginionych, że ich samochód stoi cały czas na parkingu 400 m od otworu jaskini; na miejscu są już policja, grupa ratownictwa górskiego, straż pożarna i Czerwony Krzyż; potrzebujemy waszej pomocy...”. Przed północą pracowała już pierwsza grupa ratowników...

Falkensteiner Höhle jest jaskinią horyzontalną, o przeszło pięciu kilometrach długości. Położona jest nieopodal Bad Urach, w samym sercu Schwäbische Alb, w Niemczech. Przepięknie ukształtowane przez wodę korytarze i urok szaty naciekowej przyciągają do niej grotolazów z całej Europy i turystów, którzy mogą sobie pozwolić na przejście w kaloszach, z ręczną latarką, pierwszych 405 metrów. Byłaby to niezmiernie łatwa dziura, gdyby nie syfony. Pierwsze trzy można przejść na bezdechu. Pozwalają na to ich niewielkie rozmiary i długość do czterech metrów. Pozostałe 24 wymagają już doświadczenia i użycia sprzętu nurkowego.

Od kilku dni stan wody w jaskini Falkensteiner Höhle był wyższy. Groziło to zalaniem przełazów i powiększeniem początkowych syfonów do rozmiarów uniemożliwiających przejście ich bez użycia sprzętu specjalistycznego. Równa się to odcięciu drogi powrotu dla śmiazków, którzy zaryzykowałiby eksplorację w tym czasie.

Grotolaz, lat 47, wraz z pletwonurkiem, lat 38, który nigdy przedtem w jaskiniach nie był, zbagatelizowali sobie to zagrożenie. Doszli pechowego dnia bez zbytnich kłopotów do syfonu II. Tutaj jednak stan wody był już na tyle wysoki, że nie dali rady pokonać przeszkody wodnej. Postanowili zawrócić. W połowie drogi pomiędzy syfonami I i II jeden z przełazów okazał się całkowicie zalany. Można było tylko nurkować na bezdechu. Zdecydował się na to ten młodszy. Nie znając zupełnie jaskini, nie mogąc określić długości przeszkody, wreszcie zdając sobie sprawę z tego, że rozłącza się z partnerem, który nie chce nurkować, pokonuje syfon. Kolejne partie okazują się również zalane. „Młody” pozostaje przed syfonem I.

Syfon I sprawia także duże problemy ekipie ratunkowej. Poręczający nurek wycofuje się trzykrotnie pod naporem wody, zanim go pokonuje. Zarobliwie zwany „kałużą”, z powodu swoich trzech metrów długości i pięciocentymetrowej warstwy powietrza pod stropem, stał się teraz dwudziestometrowej długości syfonem z prawdziwego zdarzenia.

Pierwszy ratownik dociera do „Młodego” po 1.00 w nocy. Poszkodowany jest bez światła, wycieńbiony, głodny i w szoku. Czeka tutaj od szesnastu godzin, narzucony po pas w lodowatej wodzie. Od całkowitego wychłodzenia chroni go tylko 7-milimetrowa pianka neoprenu. Przy „Starszym” pierwszy nurek jest pół godziny później. Za chwilę dociera do nich lekarz. Gorące napoje i jedzenie wzbogacone mikroelementami przywracają utraconą energię. Na powierzchnię niedosłone ofiary wychodzą o własnych siłach asekurowane przez ratowników i wykorzystując w pełnym zakre-

sie sprzęt do nurkowania. Jest 26 lutego 1995 r., godzina 16.00. Lekarze wyrwywają poszkodowanych z rąk żądnych sensacji reporterów. Po prostu „Zachód”. Pakowanie sprzętu, dzielenie się spostrzeżeniami i radością, że wszystko dobrze się skończyło, a Höhlenrettung Baden-Württemberg wzorowo przeprowadził akcje ratunkową.

Na nowo odżyło wszystko w poniedziałek. Gazety rozpisywały się o tragedii uwięzionych nieszczęśników, stacje radiowe puszczały w eter nagrania rozmów pod otworem i szaleńczo bulgocącej wody. TV satelitarna też nie została w tyle: wywiady, reportaże. Wszyscy postanowili zarobić. Nawet winni całego zamieszania. RTL chce wszystko odtworzyć przed kamerami, a później wyemitować to w swej krwawej serii pt. „Notruf”. „Młody” na to poszedł. Zażądał tylko 25 tysięcy DM. No cóż, można zarobić nawet na swojej beźmyślności (czytaj: głupocie).

Małgorzata A. Kosior

## Grotolazi z San Marino eksplorują

Odkryta w 1993 r. w Alpach Północnoalbańskich Grota Wilgotnych Ludzi, uzyskała 1994 r. głębokość -420 m. Pewną ciekawostką stanowi fakt, że zespół który tego dokonał, to trzecia już wyprawa określana w Spelunce 56 jako „włosko-sanmarińska”.

## Polka do Lechuquilla Cave

Informacjami o swoich interesujących planach podzieliła się z nami autorka zamieszczzonej wyżej notatki o wypadku w Falkensteiner Höhle - Małgorzata A. Kosior (Wielkopolski Klub Tatarnictwa Jaskiniowego), studiująca aktualnie na uniwersytecie w Tybindze. Otrzymała ona wraz z dwoma osobami z klubu ARGE Höhle und Karst Grabenstetten EV zaproszenie od Carlsbad Caverns National Park do wzięcia udziału w planowanej na drugą połowę br. wyprawie badawczej do jaskini Lechuquilla (USA, Nowy Meksyk). Jaskinia ta, odkryta przed 9 laty, jest jedną z pretendujących do miana najpiękniejszej w świecie. Ma 500 m głębokości i przeszło 100 km długości. Ze względu na ostry reżim ochrony organizuje się do niej tylko wyprawy badawcze. W tym roku będzie ich 6, ale już od przyszedłego tylko po 4 rocznie.

Wyprawa, w której uczestniczyć ma nasza rodzczka, ma na celu tworzenie dokumentacji oraz badania biologiczne, hydrologiczne, geologiczne i klimatologiczne. Małgosia została zakwalifikowana do grupy kartograficzno-dokumentacyjnej. Podczas trzytygodniowego pobytu pod ziemią jej uczestnicy będą sporządzać plany i przekroje, fotografować i filmować. Patronat nad egzotycznym wyjazdem poznania objął wojewoda poznański Włodzimierz Łęcki. Oczekujemy na obiecane relacje!

(r)



# Polana Rogoźniczańska latem 1994 roku

Od czterech lat obozowisko PZA w Tatrach Zachodnich prowadzą członkowie Speleoklubu w Dąbrowie Górniczej. Alek Chruściel, Asia Pierzchała, Włodek Matejuk i ja gospodarzyliśmy na nim od 26 czerwca do 4 września. Na podstawie danych, skrupulatnie zbieranych przez 2 miesiące, sporządziłam takie oto sprawozdanie.

Polanę odwiedziło 287 osób, w tym 87 dam. Chodzących po jaskiniach zanotowaliśmy 206, w tym 55 dziewczyn, zrzeszonych w następujących klubach:

- z Krakowa - STJ KW (36 osób), KKTJ (14 osób);
- z Wrocławia - SG KW (35 osób), młodzieżowa grupa Kazia Buchmana (19 osób);
- z Częstochowy - Speleoklub (28 osób);
- z Dąbrowy Górniczej - Speleoklub (20 osób);
- z Warszawy - STJ KW (18 osób), PKG (1 osoba);
- z Sopotu - SKTJ (11 osób);
- z Sosnowca - Aven (6 osób), AKS przy GO PTPNoZ (12 osób);
- z Gliwic - Speleoklub (2 osoby);
- z Katowic - KKS (1 osoba);
- z Zakopanego - Speleoklub (1 osoba).



Montaż podestów

Wiekowo najliczniej reprezentowany był rocznik 1975. 66% gości to młodzież 17-24-letnia, 20% to 25-34-latk, niecałe 7% - osoby z lat 50., około 3% - z lat 40., niecałe 2% stanowili weterani z lat 30., a 2% to dzieci (z lat 80.). Najstarszym, rokrocznie mile widzianym gościem był Janusz Baryła.

Próbowałam także dociec, spod jakiego znaku zodiaku najwięcej osób chodził po jaskiniach, ale wszystko się raczej uśredniło. Tylko Lew i Wodnik były wyraźnie nielicznie reprezentowane.

Działalność jaskiniowa wyglądała w ubiegłym roku nieźle. Pogoda była dobra. Większość akcji przeprowadzono w lipcu, kiedy to SG KW Wrocław zorganizowała dwa kursy szkoleniowe, a Speleokluby z Częstochowy i Dąbrowy Górniczej oraz STJ KW Warszawa i KKTJ miały swoje obozy. Najczęściej odwiedzane jaskinie to kolejno: Czarna, Zimna, Pod Wanta, Wielka Snieżna, Wielka Litworowa, Bańdziuch Kominiański, Marmurowa, Ptasia Studnia.

Strona finansowa obozowiska uległa poprawie. Coraz wyższe opłaty powodują wprawdzie wzrost ceny noclegu, ale minimalizacja kosztów pozwala uzyskać nadwyżkę, która pozwoli na przeprowadzenie koniecznych inwestycji. Dużą pomoc uzyskaliśmy od samego TPN-u w postaci nowych podestów i wiaty do ich przechowywania. Dziękujemy także Andrzejowi Ciszewskiemu za dopilnowanie spraw organizacyjnych. Myślę, że i w tym roku sprawy papierkowe zostaną na czas załatwione i mogą zaprosić wszystkich zainteresowanych i chętnych na urlop na Polanie Rogoźniczańskiej.

**EXPLORER** Aleksander Chruściel  
PRODUKCJA ODZIEŻY I SPRZĘTU

SPORT - SPELEO - ALPINIZM

43-300 Bielsko-Biała, ul. Kamińskiego 11, tel. (0-30) 237-14

wyposażamy jaskiniowców w:

- ☛ kombinezony zewnętrzne i wewnętrzne,
- ☛ wory i woreczki,
- ☛ uprząże jaskiniowe i powierzchniowe,
- ☛ longe asekuracyjne i do przyrządów,
- ☛ sprzęt ratowniczy:
  - półnosze ratownicze,
  - trójką ewakuacyjny.

## Zasady wydawania zezwoleń na wejścia do jaskiń tatrzańskich

Komisja Taternictwa Jaskiniowego PZA podała w skierowanym do klubów komunikacie sprecyzowane ponownie podczas spotkania z przedstawicielami TPN zasady wydawania zezwoleń. Uznaliśmy, że jest to informacja istotna przed nadchodzącym sezonem i warto ją obwieścić w formie trwalszej, niż łatwo ginące w archiwach papiery.

Zezwolenia wydawane będą jak dotychczas u wylotu Doliny Kościeliskiej oraz w Dyrekcji TPN (do jaskiń Doliny Bystrej) w godzinach od 8.00 do 9.00 rano. W przypadku większych jaskiń zezwolenia można brać dzień wcześniej, a w wypadku braku możliwości ich wykorzystania np. z powodów pogodowych, należy je zwrócić w dniu planowanego wyjścia do godziny 9.00, do punktu w którym zostały pobrane. Udogodnienia te obejmują następujące jaskinie: Bańdziuch Kominiański, Zimną, Czarną, Marmurową, Ptasią Studnię, Miętusią, Wielką Litworową, Pod Wantą, Wielką Śnieżną.

W celu uzyskania zezwolenia należy przedstawić: wniosek z pieczęcią klubu oraz kartę taternika, a w przypadku wejścia szkoleniowego legitymację instruktorską. Zezwolenia wydawane będą tylko na wniosek klubów zrzeszonych w PZA.

Podczas przebywania w terenie wszyscy uczestnicy wejścia do jaskini powinni posiadać karty taternika, a w przypadku akcji szkoleniowej zaświadczenia o uczestniczeniu w kursie podpisane przez kierownika szkolenia klubu.

Zezwolenia na działalność eksploracyjną używane są poza przedstawionym powyżej trybem. Wydaje je Dział Naukowy TPN.

Warto przypomnieć również wykaz jaskiń udostępnionych dla uprawiania taternictwa jaskiniowego wraz z ewentualnymi ograniczeniami (liczba po nazwie to roczny limit osobo-wejść, którego wyczerpanie oznacza zamknięcie jaskini do końca roku, brak uwag - udostępnienie przez cały rok):

1. Bańdziuch Kominiański, 400, od 1 VIII do 31 I, przez dolny otwór;
2. Rura Kominiańska, 30, od 1 VIII do 31 I;
3. Zimna, 450;
4. Czarna, 350, od 1 VII do 28 II, przez główny otwór;
5. Mysia, 30;
6. Wodna pod Raptawicką, 30;
7. Wodna pod Pisaną, 100;
8. Marmurowa, 150;
9. Ptasia Studnia, 300, zimą dojdzie od dołu;
10. Lodowa Litworowa, 200, dojdzie od góry;
11. Zawaliskowa w Szerokiem, 30, dojdzie od góry;
12. Miętusia Wyżnia, 100, od 15 XII do 28 II, w dyspozycji KTJ;
13. Miętusia, 100, od 15 XII do 28 II, w dyspozycji KTJ;
14. Piwnica Miętusia, 30, od 15 XII do 28 II, w dyspozycji KTJ;
15. Zielone Kominy, 30, dojdzie od góry;
16. Górne Kominy, 30, dojdzie od góry;
17. Studnia za Murem, 30, dojdzie od góry;
18. W Szerokiem, 30, dojdzie od góry;
19. Nad Dachem, 30, dojdzie od góry;

20. Pod Dachem, 30, dojdzie od góry;
21. Wielka Litworowa, 400, dojdzie od góry;
22. Pod Wantą, 400, dojdzie od góry;
23. Tunel Małołacki, 30;
24. Śpiących Rycerzy, 60;
25. Śpiących Rycerzy Wyżnia, 60;
26. Pomarańczarnia, 30;
27. Bliźniacza Studnia, 30;
28. Małołacka, 120;
29. Koprowa Studnia, 30;
30. Barania, 30;
31. Strzelista, 30;
32. Jędrusiowa Dziura, 30;
33. Przy Przechodzie, 30;
34. Dudnica, 30;
35. Wielka Śnieżna, 120, w dyspozycji KTJ;
36. Kalacka, 80;
37. Goryczkowa, 50;
38. Kasprowa Niżnia, 120;
39. Kasprowa Średnia, 60;
40. Kasprowa Wyżnia, 60.

## Nurkowania w Jaskini Miętusiej

Niespodziewanym powodzeniem cieszą się ostatnio syfony Jaskini Miętusiej. A nie są to błahe problemy, gdyż wchodzi w grę nurkowania głębokie. Po wspomnianej w omówieniu sezonów akcji w Ciasnych Kominach (grudzień 1992 r.) przyszła kolej na „nie ruszany” od ponad 20 lat syfon na dzień Wielkich Kominów Miętusiańskich. Dotychczas uzyskana w nim głębokość wyniosła -28 m, będąc zarazem najniższym punktem jaskini (-241 m). W lutym 1995 r. w syfonie tym nurkował Krzysztof Starnawski ze Speleoklubu Warszawskiego. Jak się wydaje ze wstępnych doniesień, na razie bez wyników eksploracyjnych.

## -1393 m w Chorwacji

Jak donosi w Spelunce 56 (XII 1994) Bronisław Smida z Trnavy, międzyklubowa ekipa Słowaków która działała od 23 do 30 lipca w masywie Hajducki Kukovi (Veľebit), uzyskała połączenie pomiędzy jaskinią Manual II (-580 m), a systemem Luki-na Jama (-1355 m). Po pomiarach powierzchniowych pomiędzy otworami i kartowaniu w Luki-na Jama, chorwaccy goście ogłosili 24 sierpnia dokładną wartość nowej głębokości systemu: -1393 m.

(rk)

## Picos de Cornion - Vega Huerta

Zainteresowani eksploracją w Masywie Zachodnim Picos de Europa (Góry Kantabryjskie, Hiszpania) wiele interesujących danych znajdują w obszernym i bogato ilustrowanym artykule Philippe Morveranda, omawiającym rejon Vega Huerta (na południe od najwyższego szczytu masywu - Peña Santa). Materiał zamieściła Spelunca 52, XII 1994 (s. 25-38).

(r)

## Zimą na Eigerze

Na przełomie lutego i marca w Grindelwaldzie bawiła grupa uczestników obozu centralnego PZA w składzie: Jacek Fluder, Janusz Gołąb i Stanisław Piecuch oraz spozą obozu Wojtek Gumula.

Zamierzonym celem było pierwsze przejście zimowe drogi Ghillini-Piola, 6b, A4 na północnej ścianie Eigeru. Droga poprowadzona w ciągu 5 dni w 1983 jak dotąd doczekała się kilku letnich powtórzeń, między innymi przejścia samotnego Xavera Bongarda. Mimo wielu prób nikomu nie udało się pokonać jej zimą. Niestety, do grupy pokonanych dołączyliśmy i my. Tegoroczna zima chyba w całej Europie była wyjątkowo śnieżna, kapryśna i niestabilna; podobnie w rejonie Grindelwaldu – prawie codziennie opady śniegu, gwałtowne wzniski i spadki temperatury oraz kłębiące się rozległe niże. Podczas całego pobytu tylko dwa dni były bez opadu śniegu, które skrupulatnie wykorzystaliśmy wchodząc w upatrzoną drogę. Na jej przejście według naszych obliczeń potrzebowaliśmy 8-10 dni. Już na podejściu pod ścianę śnieg miejscami sięgał do pasa, a na wspólnej z Drogą Klasyczną łatwiejszej partii miejscami do kolan. Następnym 15 wyciągów doprowadzających pod monolit prowadziło terenem głównie płytowym w skali francuskiej do 5+ (UIAA do VI+), wszystkim przysypałe warstwą niezwiązane go śniegu.



*Wojtek Gumula podchodzi na linie ponad biwakiem*

Podczas pięciu dni spędzonych w ścianie z owych 15 wyciągów urobiliśmy 10. Już drugiego dnia po południu zaczęło z lekka posypywać. Trzeciego po południu zaczęło sypać gęsto i nieprzerwanie. Czwartego padało cały dzień i nie wyściubiliśmy nosa z portaledge'ów. Piątego po porannym przejaśnieniu i rozpoczęciu wspinaczki zaciągnęło się ponownie, a my zde gustowani mozołem wspinania w takich warunkach podjęliśmy decyzję o odwrocie. W ciągu kilku godzin ewakuowaliśmy się zjazdami do okna kolejki zębatej przeryniającej Eiger od środka.

*Jacek Fluder*

## CERRO TORRE

Wydarzeniem sezonu 1993-1994 w Patagonii była nowa droga na ścianie południowej Cerro Torre. Jej autorami są Słowęnczy: Janez Jeglic, Marko Lukic i Miha Prapotnik. Biegnie na prawo od drogi Jeglica i Karo z 1988, a po pokonaniu 800-metrowego urwiska łączy się na wysokości Bananowej Rysy z popularną Drogą Przez Kompresor autostrady Maestriego z 1970.

Ogólna wycena drogi to ED4, a trudności techniczne sięgają VIII - A4 i lód 90°. Początkowo Słowęnczy usiłowali pokonać drogę w stylu alpejskim, ale ze względu na fatalną pogodę – podczas całego półtoramiesięcznego pobytu mieli jedynie 6 dni dobrej pogody – zapowiedzieli aż 770 m. Maksymalnie w ciągu jednego dnia udało im się pokonać cztery wyciągi. Podobnie jak na sąsiedniej drodze z 1988 skała była kiepska – wspinacze z ogółu 22 wyciągów jedynie 3 pokonali w lekkich butach. Większość drogi wymagała użycia techniki hakowej; spitów używano tylko na stanowiskach, z wyjątkiem jednego osadzonego podczas wspinaczki.

## GRANDES JORASSES

Na początku sezonu letniego 1994 miały miejsce dwa ważne przejścia na ścianie północnej. Thierry Schmitter i Jan Van Der Berg jako trzeci zespół zrobili drogę Slavko Sveticica MANITUA na monolitycznej lewej flance filara Croza (trudności ogólne ED3 6c A3); drugie przejście, a pierwsze zimowe było dziełem silnego zespołu z Polski w marcu 1993). Schmitter i Van Der Berg dobili jednego spita na kluczowym wyciągu hakowym, co nie było potrzebne zespołowi polskiemu. MANITUA łączy się z klasyczną drogą Croza z 1935 na wysokości około 6 wyciągów pod wierzchołkiem i właśnie tam prowadzący Schmitter zaliczył 30-metrowy lot, w rezultacie którego obaj wspinacze zostali ściągnięci ze ściany przez helikopter. Jakkolwiek akcja po wypadku była konieczna, wciąż trwają spory, czy można uznać drogę wspinaczom, którzy zostali ewakuowani ze ściany helikopterem, nieważne jaki byłby tego powód. Zgodnie z tradycyjną etyką drogi nie uznaje się za zakończoną, jeśli nie była doprowadzona do „logicznego końca”. Ścisłe określenie owego „końca” ulega od lat ciągłym modyfikacjom, jednakże czy może być nim nazwane zwiezenie ze ściany 180 m pod wierzchołkiem?

Innym znaczącym wydarzeniem na północnej ścianie jest pierwsze przejście solowe oraz trzecie w ogóle drogi EXTREME DREAM. Jego autorem jest dobrze znany wspinacz ze Słowenii Slavko Sveticic. EXTREME DREAM poprowadzona zimą 1987 przez Jean-Marc Boivina i Gerarda Vionnet-Fuasseta, to droga o trudnościach głównie

## Siedem szczytów siedmiu wysp

Całkiem niedawno odnotowano pomysł stworzenia nowej konkurencji w zdobywaniu najważniejszych szczytów Ziemi.

W roku 1992 63-letni Niemiec Gerhard Schmatz nie usatysfakcjonowany do końca zdobyciem siedmiu najwyższych szczytów siedmiu kontynentów zrealizował pomysł wspięcia się na najwyższe szczyty siedmiu największych wysp świata.

Jego droga do skompletowania tzw. Korony Ziemi rozpoczęła się w 1979 roku od zdobycia Everestu (wejścia okupionego śmiercią żony Hannelore podczas zejścia z wierzchołka), a skończyła się w 1986 zdobyciem Mount Vinson na Antarktydzie. Schmatz był jednym z pierwszych, którzy weszli na wszystkie najwyższe szczyty siedmiu kontynentów według oryginalnego pomysłu, to znaczy z Górą Kościuszki, a nie z Carstensz Pyramid.

W 1988 Schmatz rozpoczął realizację swojego nowego pomysłu, i tak w ciągu kilku następnych lat wszedł na: Gunbjorns Fjeld (3700 m, Grenlandia), Carstensz Pyramid (4884 m, Nowa Gwinea), Kinabalu (4101 m, Borneo), Maromokotro (2876 m, Madagaskar), Mt Odin (2147 m, Wyspa Baffina), Kerentji (3801 m, Sumatra) i Fudzijama (3776 m, Honsiu). Wielka Brytania jako ósma nie zmieściła się już na jego liście.

Innym aktywnym kolekcjonerem szczytów jest Japonka Junko Tabei – pierwsza kobieta na Everencie (w 1975), a także zdobywczyni Korony Ziemi w 1992. Zdeklarowana organizatorka kobiecych wypraw, obecnie próbuje zostać pierwszą osobą, która „zaliczy” najwyższe szczyty 191 niezależnych państw świata. Aktualny jej stan posiadania jest nieznanym, ale jednym z najtrudniejszych szczytów może okazać się „wierzchołek” Watykanu. Póki co, dzielna Japonka nie ma konkurencji w swoim zamierzeniu. 20 ludzi wspięło się jak dotychczas na wszystkie najwyższe szczyty siedmiu kontynentów (w Australii z Oceanią liczy się obecnie tylko Carstensz Pyramid). Pierwszym, który tego dokonał, był Pat Morrow w sierpniu 1988, a cztery miesiące po nim Koronę Ziemi zdobył Reinhold Messner. Oprócz Junko Tabei jedyną kobietą w tym ekskluzywnym klubie jest Francuzka Christine Janin.

J.F.

## Aconcagua '95

Ryszard Pawłowski poprowadził wyprawę na najwyższy szczyt Ameryki Południowej - Aconcagua (6962 m). Pomimo złych warunków atmosferycznych, 6 lutego, drogą przez wschodnią ścianę (tzw. Lodowcem Polaków) na wierzchołek weszli: Jacek Masekto z Alaski, Jan Orłowski, Ryszard Pawłowski, Kazimierz Rosiak. 8 lutego po przejściu drogi normalnej na szczyt stanęły: Anna Czerwińska i Ewa Dereń.



- 1 - Ekstrem Dream
- 2 - Manitu
- 3 - Nowa droga Ghirardiniego

lodowych. Warto także przypomnieć, iż jej drugiego przejścia dokonał polski zespół – Jacek Fluder i Janusz Gołąb 30 sierpnia 1993 r. w ramach obozu alpejskiego PZA. Startując w nocy 15 czerwca Svetičić szybko uporał się z długim polem lodowym Centralnego Kuluaru, by stanąć następnie pod pierwszym stromym odcinkiem. Dalsze 300 m stanowiło sprawdzian, szczególnie kluczowy wyciąg, który Svetičić uznał za najtrudniejszy lodowy odcinek, jaki kiedykolwiek w życiu przeszedł. Nie przeszkodziło mu to jednak osiągnąć wierzchołka Pointe Walker około 2.00 po południu.

Ten sam Svetičić 23 czerwca połączył swe siły z nieco kontrowersyjnym lokalnym wspinaczem Juano Ghirardinim, by zrobić nową drogę wąskim kuluarem pomiędzy Point Marguerite i Point Young na prawo od ściany północnej. Po pokonaniu 600 metrów delikatnego mikstowego terenu obaj wspinacze zabiwakowali pod pokrytymi cienką warstwą lodu płytami, które wydały im się nie do przejścia. Następnego dnia po biwaku pogoda wyraźnie się poprawiła, a zespół zdecydował się... rozdzielić. Od tego momentu każdy sam musi sobie wyobrazić, co działo się później, ponieważ relacje obydwu wspinaczy różnią się diametralnie.

Svetičić wytrawersował na prawo, do górnego odcinka DROGI POLSKIEJ z 1968 i nią osiągnął wierzchołek Pointe Young. Natomiast Ghirardini poszedł prosto w górę i po pokonaniu owego „niemożliwego” wyciągu także stanął na szczycie. Jako autor, całkiem trafnie ochrzcił swoją nową 850-metrową drogę jako RÉVE EPHÉMÈRE D'ALPINIST, gdyż bardzo rzadko zdarzają się na niej dobre warunki. Jakkolwiek były okoliczności pierwszego przejścia, stanowiło ono bez wątpienia imponujący wyczyn, choć do końca nie wiadomo, na ile nowa droga pokrywa się z drogą Słoweńca Franci Kneza z 1980.

Opracował: Jacek Fluder

## Piotr Pustelnik i Ryszard Pawłowski na Evereście



Piotr Pustelnik

12 maja 1995 roku o godzinie 11.40, Piotr Pustelnik jako dziesiąty Polak stanął na szczycie Mt. Everestu. Tego samego dnia na wierzchołek najwyższej góry świata wszedł Ryszard Pawłowski, który zdobył ten szczyt po raz drugi.

*Gratulujemy!*

### Lista Polaków, zdobywców Mt. Everestu:

1. Wanda Rutkiewicz
2. Leszek Cichy
3. Krzysztof Wielicki
4. Andrzej Czok
5. Jerzy Kukuczka
6. Andrzej Marciniak
7. Eugeniusz Chrobak
8. Maciej Berbeka
9. Ryszard Pawłowski
10. Piotr Pustelnik

## ZAMIĄST ARTYKUŁU

Zamiast niniejszego tekstu w tym miejscu numeru miał być duży materiał o wszystkich powierzchniowych klubach zrzeszonych w Polskim Związku Alpinizmu. Materiał, dzięki któremu czytelnik miałby szansę porównać istniejące kluby, uzyskać podstawowe informacje o ich liczebności, działaniach i osiągnięciach, rodzajach prowadzonych szkoleń, wyprawach w góry dalekie i bliskie, o zasobach sprzętowych i kondycji finansowej. Miałby szansę umiejscowienia swojego macierzystego klubu w „rankingu” ogólnym. Każdy (również członkowie zarządów) być może miałby szansę „podkupienia” jakiś pomysłów i zastosowania ich na swoim podwórku. Być może mieliby - ale nie mają. Dlaczego?

Podstawą każdego opracowania o charakterze statystycznym są zawsze dane. Aby wejść w posiadanie niezbędnych informacji rozesłaliśmy do zarządów wszystkich klubów powierzchniowych (listami poleconymi) ankiety oraz prośbę o ich wypełnienie i odesłanie. Założyliśmy, że dwa miesiące na udzielenie odpowiedzi na 35 pytań to czas wystarczający. Zwłaszcza, że prawie wszystkie pytania odpowiedzi należało szukać w statutach i dokumentacjach klubowych. Wypełnione ankiety otrzymaliśmy od jednej piątej za-

rządów (dokładnie od 6 z 30 zarejestrowanych klubów powierzchniowych). Tym samym tworzenie jakichkolwiek porównań i statystyk przestało mieć oczywiście sens. Artykułu nie będzie. Nasuwa się jedynie pytanie, czy kluby, których nie ma wśród wspomnianych sześciu w ogóle istnieją? Czy ich członkowie odczuwają rzeczywistą przynależność do klubów? Czy coś z tego dla nich wynika? Mamy poważne wątpliwości. I wreszcie - po co owe 24 kluby przynależą do PZA, skoro raczej mają tę organizację w nosie? A może po prostu wstydzą się publicznie odpowiedzieć na zadane pytania? Czy to oznacza, że i PZA, podobnie jak inne, liczne organizacje o charakterze społecznym, rozkłada się powoli w obliczu naszego początkującego kapitalizmu? Czy rzeczywiście to ów przewrotny element polityczny, którego obecnie zabrakło, cementował działalność ludzi?

Może nie jest aż tak źle. Może otrzymamy jeszcze jakieś odpowiedzi od klubów i artykuł ukaże się w następnym numerze. Może. Tymczasem chcielibyśmy podziękować koleżankom i kolegom z sześciu klubów, za to, że pełnione funkcje przyjęli po to, aby je pełnić - nie zaś po to, aby je mieć.

Nie będziemy wymieniać klubów, które odpowiedziały i nie odpowiedziały na pytania ankietowe. W końcu nie zawsze kiepski zarząd oznacza kiepski klub.

*Redakcja*

## Kurs instruktorów wspinaczki skalnej

Planowo i punktualnie, jak w przedwojennym rozkładzie jazdy rozpoczął się i zakończył kurs instruktorów wspinaczki skalnej. Egzamin wstępny odbył się 1 kwietnia 1995 r. w Krakowie w tzw. Wieży. Kolega Mariusz Gołkowski przygotował 2 drogi egzaminacyjne o trudnościach VI+, na których zmagano się 36 kandydatów na kurs. Komisję oceniającą umiejętności wspinaczkowe oraz biegłość w trudnej sztuce asekuracji tworzyli: wspomniany już Mariusz Gołkowski oraz Ryszard Emilewicz i Bogumił Ślania. Trzeba stwierdzić, że nie wszyscy kandydaci sprościli tej próbie. O ile można jeszcze wytłumaczyć brak wprawy we wspinaczce „po lamperii” (kilka osób robiło to po raz pierwszy), to musi zastanawiać popełnianie błędów w trakcie asekuracji przez osoby pretendujące do stopnia instruktorskiego. Egzamin teoretyczny jak zwykle polegał na rozwiązaniu testu zawierającego kilkadziesiąt pytań na tematy techniczne oraz zagadnienia „ogólnogórskie”. Ta próba była jeszcze trudniejsza, co niekoniecznie wynikało z trudności pytań. Spora grupa zdających „padła” z powodu bezkrytycznej lektury książki „Liny alpinistyczne”. Jeszcze raz wypada przypomnieć, że książka pod tym tytułem nie jest podręcznikiem zalecanym przez komisję Szkolenia PZA, a ewentualnej lekturze powinna towarzyszyć recenzja tej książki zamieszczona w „Taterniku” 1/1993 na str. 37-40.

Ostatecznie na kurs zakwalifikowano 16 osób z 10 klubów. Zajęcia odbywały się tradycyjnie w COS PZA „Betlejemka” na Hali Gąsienicowej. W ciągu 8 dni wykładów poruszono między innymi następujące zagadnienia:

- unifikacja zagadnień technicznych: węzły, technika asekuracji, technika zjazdu i podchodzenia po linie,
- higiena i fizjologia,
- udzielanie pierwszej pomocy,
- ratownictwo w skałkach i transport rannego,
- metodyka nauczania techniki wspinania, asekuracji, zjazdu i prusikowania,
- osadzenie sztucznych punktów asekuracyjnych,
- zasady prowadzenia zajęć w terenie,
- zasady prowadzenia wykładów,
- instruktorska znajomość terenu i drogi wspinaczkowej,
- bezpieczeństwo własne instruktora,
- terenoznawstwo i nawigacja,
- socjotechniczne aspekty pracy instruktora,
- rola instruktora w klubie,
- zasady organizowania i sędziowania zawodów wspinaczkowych,
- etyka zawodowa,
- przepisy PZA.

Kadrę teoretycznej części kursu instruktorskiego tworzyli koledzy: Konstanty Bałuciński, Jarosław Caban, Ryszard Emilewicz, Wojciech Jedliński, Bogumił Ślania, Wacław Sonelski i Wojciech

Święcicki. Po trudnym egzaminie końcowym, na który składała się praca pisemna i rozmowa z komisją egzaminacyjną, wyłoniono 12 instruktorów aspirantów.

Praktyczna część kursu instruktorskiego odbyła się w dniach 29.04.- 7.05.1994 r. w Rzędkowicach. Zgodnie z wypracowanym od kilku lat modelem kursu instruktorów wspinaczki skalnej staż polegał na tym, że koledzy aspiranci szkolili kursantów pod opieką i życzliwym nadzorem kolegów pełniących funkcję instruktorów asesorów. W tym roku kadrę kursu stanowili: Jarosław Caban, Wojciech Jedliński, Andrzej Marczak, Piotr Panufnik, Bogumił Ślania i Andrzej Zieliński oraz kierujący całym przedsięwzięciem Wojciech Święcicki.

Oprócz codziennej pracy z kursantami na które składały się ćwiczenia techniki wspinania, asekuracji, zjazdu etc, koledzy stażyści poświęcili wiele godzin na doskonalenie własnych umiejętności instruktorskich. Codziennie rano poznawali do perfekcji drogi szkoleniowe, a wieczorami wprawiali się w umiejętnościach ratowniczych. Nic dziwnego, bo wszyscy żyli pod wrażeniem zbliżających się egzaminów praktycznych. W nocy ze środy na czwartek w kompletnych ciemnościach został rozegrany bieg terenowy na orientację. Trasa prowadziła z Ostańca poprzez skałki i okoliczne lasy na powrót w okolice Ostańca. Najlepszym znawcą mapy i kompasu udało się pokonać kilkukilometrową trasę w czasie poniżej 40 minut. Znacznie trudniejszy był egzamin z ratownictwa. Instruktorzy aspiranci połączeni w dwuosobowe zespoły (w których jeden pełnił rolę rannego) rozwiązywali zadania ratownicze w warunkach jak najbardziej naturalnych tj. ryzykując własnym zdrowiem i życiem w przypadku złego wykonania ćwiczenia. Do trudniejszych zadań należała ewakuacja rannego „kursanta” z drugiego wyciągu Słonecznego Trawersu na Wielkim Okienniku Rzędkowickim, co wymagało najpierw dość skomplikowanych manewrów mających na celu odzyskanie liny, a następnie wykonanie klasycznej wózki.

Kurs instruktorów wspinaczki skalnej ukończyli następujący koledzy stażyści: Piotr Drobot, Jerzy Dudkowski, Jacek Jania, Piotr Jaśkiewicz, Dariusz Kaptur, Zbigniew Kieras, Andrzej Makarczuk, Leszek Niestuchowski, Tomasz Ręgwelski, Bogusław Szczerba, Piotr Wilk i Wojciech Wiwatowski.

*Gratulujemy!!!*

Warto jeszcze wspomnieć o osadzeniu ringów na drogach kursowych którym kierował kolega „Mikser” oraz o akcji sprzątnięcia skałek wykonanej siłami całego kursu. Służbowy UAZ z „Betlejemki” odjechał wypełniony śmieciami po brzegi...

*Komisja Szkolenia PZA*

# SKLEP PODRÓŻNIKA

Mt Everest, KILIMANDŻARO, Mt McKinley,  
ACONCAGUA, Mont Blanc, SZPICBERGEN,  
Ruwenzori, RAROTONGA, Alpy, PIRENEJE,  
Kamczatka

oraz 4000 innych map i przewodników

dystrybucja map i literatury alpejskiej  
mapy i przewodniki na indywidualne zamówienia

*Sprzęt turystyczny i wspinaczkowy, odzież, obuwie*

m.in. f-my SIMOND, STUBAI, BLACK DIAMOND  
(friendly CAMALOT), BERGHAUS (owerbuty  
YETI), SILVA (kompasy, w tym GPS), CASCADE  
DESIGNS (maty Therm a Rest do  $-55^{\circ}\text{C}$ , worki  
i plecaki wodoszczelne)

**Rabat dla stałych klientów**

*sprzedaż hurtowa i detaliczna*

Warszawa, ul. Grójecka 46/50

☎ 22-44-56

K1 ul. Kaliska 8/10 ☎ 22-64-81

K2 ul. Kaliska 8/10 ☎ 22-54-87

Kraków ul. Szujskiego 2 ☎ 21-89-22

ul. Jagiellońska 6

Bielsko-Biała ul. Wzgórze 9

☎ 23-648

Olsztyn, pl. Jedności Słowiańskiej 9

☎ 27-20-34

*Zapraszamy!*

## CONTENTS

- 1 - The Bumerang
- 2 - Alpinism for the Poor
- 5 - The list of 4.000 meters summits in the Alps
- 7 - Marocco Climbing Trophy
- 9 - Winter in Marocco
- 11 - Tourists from Zakopane
- 12 - Spring in Lavanoise
- 13 - 7<sup>th</sup> Strzelecki Memorial contest
- 14 - ENSA 1994
- 16 - Verdon
- 17 - Caves in Pierre Saint Martin
- 18 - Opinion about the stand
- 24 - The Western Alternative
- 26 - Caving 1993-94
- 29 - Speleocorrída '94
- 31 - Polemics
- 32 - Sport climbing
- 35 - The Nevs From the Tatras
- 36 - Obituaries
- 39 - Caves and speleology
- 42 - Nevs from the mountains
- 45 - Nevs of organization

## TATERNIK

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU  
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA  
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,  
ul. Erazma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,  
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14  
10-684 Olsztyn, tel. domowy 42-85-92

Kolegium redakcyjne:

Andrzej Kłos, Wojciech Świącicki, Rafał Kardaś

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE s.c.

01-691 Warszawa

ul. Gdańska 22, tel 39-03-41

Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teksty  
na komputerze, o przekazywanie ich w formie dys-  
kietek (zwracamy) w programie TAG, Page Maker,  
Word For Windows, Ami PRO

# CAVE SPORT

## ALPINIZM TURYSTYKA

SPRZĘT SPORTOWY

## SZKOŁA WSPINANIA



**Nowo otwarty sklep**  
Wrocław, pl. Solny 16  
(wejście od ul. Szajnochy)

tel. (0-71) 72-36-31

*Zapraszamy*

Wrocław, ul. Czysta 7/za DT Centrum tel. (0-71) 72-58-38

*idę w góry cieszyć się życiem – idę w góry cieszyć się życiem – idę w*

**NOWOŚĆ: AVOCET** (USA) już w sprzedaży,  
również wysyłkowej

Lider jest tylko jeden!

# HIMAL SPORT

Twoim partnerem  
Krzysztof Wielicki

al. Niepodległości 214  
43-100 Tychy  
Tel/fax (03) 1278342

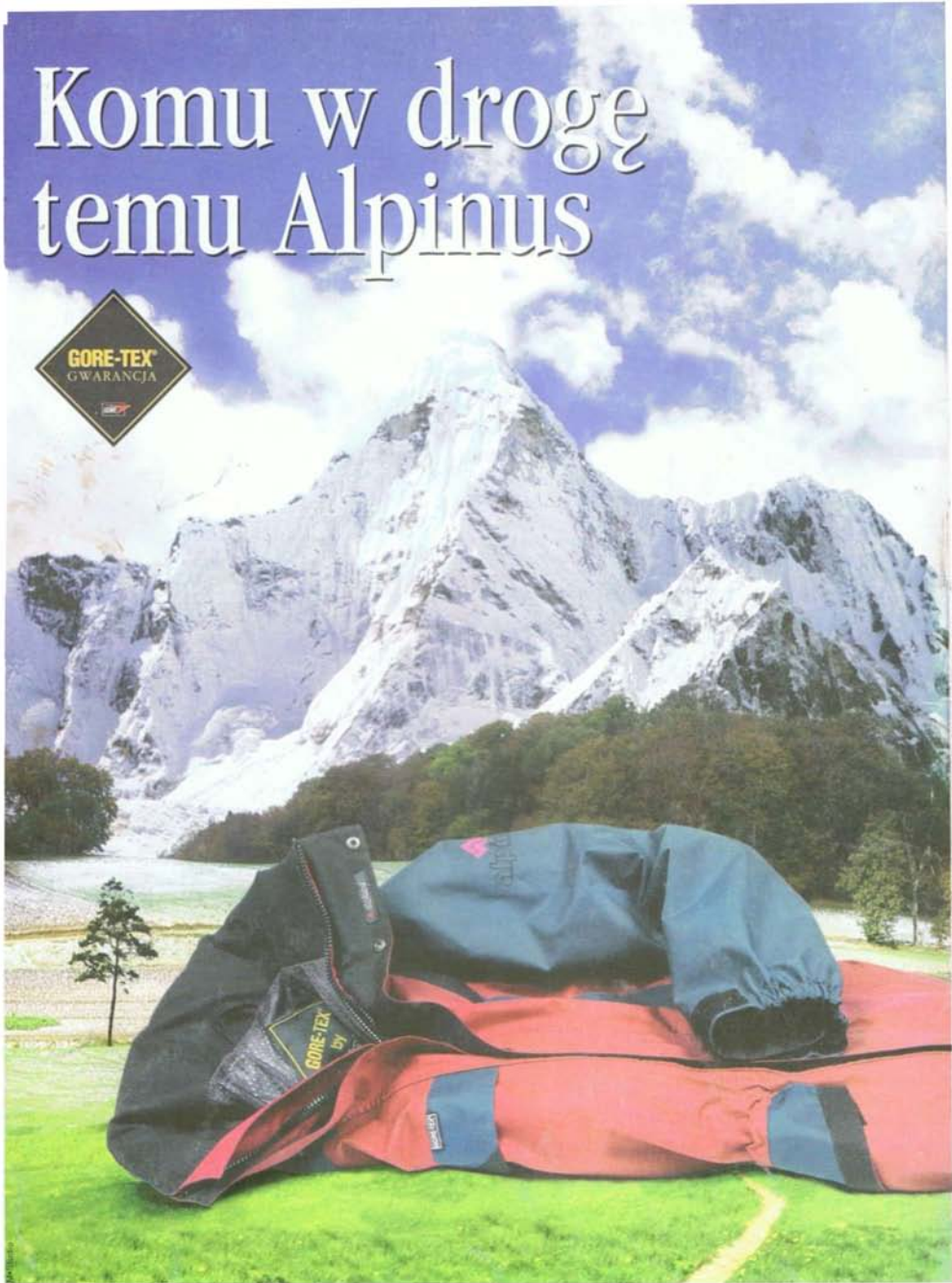


SCARPA NORTH CAPE  
GRIVEL NORTHLAND  
CASSIN COLEMANN  
SAMAS RIVORY-JOANNY  
EPIGAS SINGING-ROCK

*góry cieszyć się życiem – idę w góry cieszyć się życiem – idę w góry*

Coraz lepsza, coraz cieplejsza, oddychająca i całkowicie nieprzemakalna - oto recepta na sukces w produkcji odzieży sportowej i turystycznej. Dziedo sznki w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa, rewolucja na rynku popularnych ubiorów ochronnych, dla wszystkich którzy cenią rekreację i lubią spędzać czas na wolnym powietrzu. Alpinus oferuje komplety, współpracujący z ciałem, wlotowatostwoj odzieży „aktywnej”, który umożliwia swobodnie „oddychanie” skóry i utrzymanie termicznej równowagi ciała. Bielizna Bliowylon odprowadza wilgoć z powierzchni ciała do następnych warstw odzieży. Zawiesz suchie białej i pólowej Polaiter, niezwykle skutecznie chronią przed zimnem. Nieprzemakalne i wiatroszczelne, wierzchołki Gore-tex przepuszczają wilgoć na zewnątrz. Dłoc są one niepokonaną barierą dla deszczu, pozwalają jednak ciału naturalnie oddychać. Słowo - Alpinus oferuje nowoczesności, funkcjonalności, komfort i wygodę. Pamiętaj! Życie nie znosi niespodzianek. Jesteś dbasz o zdrowie i styl, unikaj ryzyka, nie udź na żaden kompromis, wypierz pewnością i bezpieczeństwem, posław na Alpinus. W naszej odzieży, żadna zmiana pogody nie będzie dla Ciebie zaskoczeniem. Wiedz również, że wszystkie nasze wyroby objęte są gwarancją.

# Komu w drogę temu Alpinus



# alpinus

PIĄTA STRONA ŚWIATA